

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Infantka, tom drugi


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska



Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Infantka

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

(ANNA JAGIELLONKA)

KSIEGA DRUGA. MARZENIA

Ksiądz biskup chełmski zwykł był codzien zrana przybywać na zamek, pełniąc bardzo gorliwie swe obowiązki stróża, chociaż od czasu, jak je na niego włożono, znacznie był złagodniał dla królowej. Krajczyna znajdowała, że dobry, uprzejmy, ale trochę bojaźliwy ksiądz Wojciech coraz więcej się akomodował i ustępstwo czynił Annie.

Działo się to bezwiednie. Królowna coraz stawała się energiczniejszą, biskup walczyć z nią nie mógł. Narzekał on na to przed wojewodą Uchańskim, ale oba razem bezsilnemi się czuli wobec Anny Jagiellonki, która z krwią zimną, ale z żelazną wytrwałością szła gdzie sama zamierzyła, niełatwo słuchając kogo.

Rosła w ich oczach ta pani niedawno jeszcze zapomniana, lekceważona przez brata i zalewająca się łzami. Naówczas ulegała ona choremu królowi, teraz sama się czuła tu pierwszą i nie ustępowała nikomu.

Jednego poranku jesiennego przybył ksiądz Staroźrebski jak zwykle na zamek i zdziwił się mocno widząc, że podwórca część zajmowały powyciągane z szop wozy, paki i skrzynie; że tuż w improwizowanej kuźni konie przekowywano, a ludzi mnóstwo kręciło się pośpieszając tak jakby im bardzo było pilno.

Wyglądało to na przygotowanie do podróży. Biskup o żadnej nie wiedział.

Talwosz, którego w niedostatku innego tytułu nazywano sekretarzem królowej, stał właśnie wydając rozkazy; biskup, wysiadłszy z kolebki, powołał go do siebie.

— Cóż się to tak przygotowujecie? — zapytał — co się u was dzieje?

— Królowna wydała rozkazy, aby się gotowano do podróży — odparł sucho Talwosz.

— Gdzie? dokąd? do jakiej? — żywo przerwał biskup — ale ja o niczem nie wiem! Na rany pańskie! Ja tu przecie stróżem jestem!

Litwin słuchał obojętnie księdza biskupa i rzekł również zimno.

— Ja spełniam co mi przykazano, do mnie nie należy więcej nad to.

— Ale dokądże jechać myślicie? — zawołał biskup coraz bardziej poruszony.

Talwosz ruszył ramionami.

— Królowna się przedemną tłumaczyć nie potrzebowała — rzekł — a ja pytać nie śmiałem. Wiem tylko, że jedziemy.

Ksiądz biskup stał z załamanemi rękami; poczciwa jego twarz łagodna zmieniła się, zasępiła, posmutniała, widać było, że go to wiele kosztowało, iż zmuszonym został królownie czynić wyrzuty.

Zmiészany nie śpieszył na zamek, aby się rozpytać, bo chciał z pierwszego wrażenia ochłonąć, lękając się narazić zbyt żywemi wyrzuty królownie, a był do nich obowiązany.

Panowie senatorowie postawili go tu na straży; królowna nie powinna była kroku uczynić bez ich wiedzy i przyzwolenia; biskup nie słyszał o żadnej podróży, a tu już czyniono, nie pytając, przygotowania do niej.

Talwosz pokłonił mu się i odszedł.

Ksiądz Wojciech postawszy chwilę jeszcze zakłopotany, powolnym krokiem wsunął się na pokoje Anny.

W posłuchalnym, w którym go zwykle przyjmowano, pusto było. Dosia tylko sprzątała po stolikach, i przyszła księdza w rękę pocałować. Nie śmiał się biskup jej pytać.

Wtem ze drzwi bocznych wyjrzała krajczyna i znikła, a po chwili królowna Anna ukazała się w progu i weszła powolnym krokiem.

Biskup ją przywitał milczący, badając oczyma; w twarzy nie znalazł żadnej zmiany — spokojną była zupełnie i nie zdawała się zakłopotaną, gdy ksiądz Wojciech zmiészany był niezmiernie.

— Widzę na zamku jakieś przygotowania — odezwał się nieśmiało — tak jak gdyby do podróży. Czy wasza miłość odebrała jakieś wiadomości od panów senatorów?

— Żadnych — odparła Anna — ale powietrze się zbliża codzien do Płocka i ja tu na nie czekać nie myślę. Muszę szukać bezpieczniejszego schronienia.

— Ale to nie może nastąpić bez wiedzy panów senatorów — przerwał biskup.

— To wasza rzecz, mój ojczy, z nimi się o to porozumieć — rzekła spokojnie królowna — co do mnie ja niczych rozkazów czekać nie potrzebuję, jestem przecież wolną.

Biskupowi pot z czoła spadał kroplisty, ocierał go ruchem gorączkowym rąk obu.

— Tak jest, tak jest — pośpieszył potwierdzić — lecz niemniej bez ich wiedzy by nie wypadalo. I dokądże wasza miłość chcesz jechać?

— Sądzę, że w Łomży będę najbezpieczniejszą — chłodno, po krótkim namyśle odezwała się królowna.

Biskup ręce łamał, przyszło mu na pamięć, że z Łomży łatwiej było z Litwinami się porozumiewać, że z tamtąd też królowna może miała jakie umówione drogi i posłów na zjazdy, które się zapowiadały.

— Potrzeba więc chyba natychmiast o tej woli miłości waszej dać wiedzieć arcybiskupowi, panu marszałkowi i wojewodom — mówił ks. chełmski, i w ustach mu zasyczało, a głos jego coraz był słabszy.

— Nic nie mam przeciwko temu — odparła Anna Jagiellonka — ale za późno będzie o tem ich uwiadamić, gdy ja czekać na odpowiedź nie mogę. Pojedziemy jutro lub pojutrze.

— Jesteż to stałe postanowienie? — przerwał ksiądz Wojciech łagodnie. — Jabym się ośmielił miłości waszej uczynić uwagę, że panów senatorów drażnić i zniechęcać nie należałoby.

— Ale ani też im się poddawać i uniać — odpowiedziała Anna — boby ze mnie lalkę jakąś uczynili, którą ja być nie mogę, znając krwi mej prawa i dostojęństwo.

Chcę właśnić okazać, iż się nie uważam niewolnicą i podległą rozkazom niczym. Rady chętnie słucham, ale więcej nic. Jeśli się ona nie zgodzi z mojem przekonaniem, odrzucić ją muszę.

Biskup ręce podniósł do góry.

— Ale wasza miłość nie widzisz chyba, że to wypowiedzenie wojny! że to opór jest przeciw woli narodu.

— Szanuję ją, ale jej swojej poświęcić nie mogę — rzekła królowna. — Wy, ojczyce kochany, nie przekonacie mnie. Myślałam długo, wzywałam Ducha świętego, a com postanowiła to uczynię i będzie co Bóg da! Pojadę do Łomży.

Biskup milczał, królowna dodała łagodnie.

— Wy ze mną, nieprawdaż?

— Muszę — rzekł ksiądz Wojciech zcicha — choć zaprawdę przeciwko tej podróży samowolnej protestuję.

— Nie sądę, abyście wy, mój ojczyce, albo pan wojewoda Uchański wstrzymywać mnie gwałtem zamierzali. Wy donieście, co ja czynię, a ja postąpię, jak mi lepiej.

— Powietrze jeszcze daleko! W Płocku o niem nie słyhać! — odezwał się biskup.

— Nie czas będzie wyjeżdżać gdy nadejdzie — sucho rzekła Anna.

Ksiądz chełmski nie odpowiedział, szukał w głowie co mogło spowodować to nagłe wyjazdu postanowienie; domyśleć mu się było trudno czegoś, prócz łatwiejszych z Litwą układów, gubił się w przypuszczeniach.

Cesarskich wysłańców, czy francuzkich może, królowna tem bezpieczniej myślała przyjmować?

Anna przechadzała się po komnacie, nie okazując najmniejszego wzruszenia. Weszła w tej chwili jedna z kobiet, dopytując o jakieś rozporządzenia do podróży, które Anna wydała głosem śmiałym i bez namysłu, jakby oddawna je już miała w myśli przygotowane.

Biskup chełmski spróbował jeszcze na różny sposób królownę skłonić, jeśli nie do zmiany postanowienia, to do zatrzymania się z wykonaniem dopóki by on nie odebrał odpowiedzi, ale musiał się w końcu przekonać, że królowna nie da się zachwiać, westchnął, pożegnał się i poszedł co prędzej do pana wojewody, który szczęściem znajdował się w Płocku.

Uchański o niczem dotychczas nie wiedział i jak biskup zdumiał się wielce, ale on także nie śmiał nawet ważyć się pomyśleć o tem, aby królownę siłą zatrzymać na zamku i nie dopuścić wyjazdu.

— Królowna ma wielu przyjaciół — rzekł — wszyscy się nad jej sieroctwem litują, uchowaj Boże, rozterki z nią, pójdzie po świecie wieść, że ją krępują i w niewolę zaprzęgają senatorowie, szlachta się zburzy. Następstwa mogą być smutne.

Litwa tylko szuka przyczepki, gotowa się ująć za nią.

Ślij wasza przewielebność doniesienie, ale jeśli jechać się uprze, niech jedzie, nam władzy nie dano, abyśmy ją zamykali, tylko dozór i czuwanie.

Rozmawiali tak jeszcze, gdy nadszedł referendarz Czarnkowski z pożegnaniem do wojewody. Wyjeżdżał i on jako wysłaniec od królowej, wraz z księdzem Janem Borakowskim, proboszczem łęczyckim, do prymasa i na zjazdy, w sprawie tykocińskich skarbów i innych ważnych interesów.

Biskup i wojewoda znali dobrze referendarza jako oddanego sercem i duszą nietylko Annie, ale trzem Jagiellonom wszystkim, wpadli więc na niego z góry, żądając tłumaczenia: co znaczyło nagłe postanowienie.

Czarnkowski, który dotąd bezpiecznie na kilku stołkach siedział, służąc Annie, zaprzysięgając wierność Zofii, a nadewszystko pilnując sprawy cesarskiej, od niejakiego czasu poczynał wielce zdumiony dostrzegać, że co się spodziewał kierować królowną, zmuszony był jej ulegać i spełniać co mu polecała.

W oczach jego zmieniła się ta płacząca niegdyś i słaba kobieta w śmiałą, nie odslaniającą całej swej myśli, energiczną panią.

Czarnkowski jej nie poznawał.

Na domiar zawodu znajdował, że wcale się ku cesarzowi i cesarzowiczowi dziewiętnastoletniemu nie skłaniała. Uczyniła nawet uwagę referendarzowi, że młodzik taki dla niej nie przystał.

Na nieszczęście francuzki kandydat o kilka lat był starszy. Królowna nie mówiła o nim nic, ale Czarnkowski przeczuwał, że bodaj tam się jej serce pochylało.

Przyprowadzało go to do rozpaczki!

Wszystkie naówczas piękne obietnice cesarza w niweczby się obróciły.

Gdy biskup i wojewoda napadli na niego jako na prawą rękę królowej, Czarnkowski poruszył ramionami, dłonie podniósł do góry i zawołał.

— Ale ja tak dobrze, jak miłości wasze, do wczorajszego dnia nie wiedziałem o niczym! Królowna się nikogo nie radzi, nie słucha nikogo. Jestem jej sługą nie mentorem, bo tych ona nie potrzebuje i nie przyjmuje!

Uchański i Starożrebski spojrzeli po sobie.

— Ale wy, panie referendarzu — odezwał się biskup — powinniście królownie przedstawić na co się naraża. Coby miała sobie panów senatorów pozyskiwać, zraża ich i nieprzyjaciółmi czyni!

— Wiercie mi, ojczcie przewielebny — odparł Czarnkowski — iż królowna Anna do zastraszenia łatwą nie jest. *Hic mulier!* gdy co raz powie, nie ustąpi, a i wymową z nią walczyć niełatwo. Zawsze była ze wszystkich siostr najmądrzejszą i na swadzie jej nie zbywa. Jeżeli wydała rozkazy do wyjazdu, nie cofnie ich dlatego choćby, ażeby ludzie nie sądzili, że się komuś powoduje.

Ani ja, ani wy księżę biskupie, nie poradzimy nic. Trzeba się do Łomży gotować i po wszystkim, a gdy potem zażąda z Łomży do Warszawy, choćby czasu konwokacji, choćby natenczas, gdy jej tam najmniej sobie życzyć będą, pojedzie nie pytając nikogo.

Westchnął biedny biskup.

— Wszystka wina spadnie na nas — zamruczał.

Uchański dodał z uśmiechem:

— Ile nas jest, cośmy niegdyś widywali królownę, kiedy Mnischowie ją z bratem poróżnili, a ona oczy wypłakując zносиła wszystko, nawet gdy jej Zajączkowską z jej pokojów gwałtem brano, omyliliśmy się na niej dużo. Ulegała bratu i królowi, lecz nikomu więcej się nie podda... Czuje się królową.

— Tak jest, niewątpliwie — potwierdził Czarnkowski. — Ja poświadczyć to mogę. Sądziłem niegdyś, iż mojej rady potrzebować będzie i iść za nią, a teraz jej słuchać muszę.

Kto tam u niej ma posłuch, kto przewagę, trudno dociec; pono wszyscy muszą się jej submitować i czynić, co rozkaże.

Krótko tu zabawiwszy biskup, musiał pośpieszać gotować się też do podróży nieuniknionej i natychmiast gońce wyprawić do senatorów z oznajmieniem.

Czarnkowski z Borakowskim jechali do prymasa.

Na zamku wszystko szło raz przez królownę wykreślonym trybem.

Mianowany ochmistrem Koniecki, który przy małej głowie nadawać sobie chciał wielką wagę i znaczenie, spróbował także reflektować królownę, która go zbyła kilku

słowami i słuchać nie chciała.

Żalińska, bo i tej z Płocka nie było dogodnie ruszać się do Łomży, wpadła z narzekaniem i fukiem. Anna dała jej się wygadać, ale nie zmieniła rozporządzeń, odprawivszy łagodnym ponowieniem rozkazów.

Tą mocą charakteru cieszył się Talwosz najwięcej może, bo do pewnego stopnia przypisywał sobie nakłonienie królowej, aby się nie oglądała na ludzi i śmieiej poczyniała.

On i Dosia znajdowali, że królowa teraz dopiero mogła być pewną, iż pokrzywdzona nie zostanie.

W chwili, gdy królowa i cały jej dwór z Płocka się wybierali do Łomży, Talwosz jednego dnia nagle z dwojgiem służby siadł na koń i pojechał w świat.

Był on tak czynnym i ruchawym, że gdy go nie stało, wszyscy to zaraz dostrzegli. Niektórym może lżej nawet bez niego było, ale ciekawym był każdy, dokąd ruszył tak nie opowiadając się nikomu.

Ochmistrz Koniecki, kręcąc wąsa powiadał, że za zezwoleniem królowej Talwosz pojechał krewnych na Litwie odwiedzić.

— Nie bójcie się — mrucał ironicznie — powróci on rychło, będziemy go mieli do syta.

Nie lubiono pocziwego Talwosza, bo u królowej łaskę miał, a ruchawością i rzutkością w posługach innych przechodził.

Dosia Zagłobianka, którą też badano o Litwiną, bo się około niej nieustannie kręcił, mówiła obojętnie, że kędyś na Litwę jechał. Być może że i on sam przed wszystkimi się tak ze swej wycieczki wytłómaczył, lecz inny ona cel miała.

Dla niego i dla Zagłobianki nie ulegało wątpliwości, iż królowa więcej sprzyjała Henrykowi francuzkiemu, że marzyła o nim.

Talwosz, który służyć jej chciał po myśli, czy z jej przyzwoleniem, czy *proprio motu* ruszył na zwiady ku posłom, którzy już w Polsce znajdować się mieli.

Sprawa wyboru Henryka nie stała tak źle, jak się czasami referendarzowi Czarnkowskiemu zdawało. Firleją się z tem nie tań, że cesarzowicza prowadził, więc Zborowski, choć Commendoniemu także przyrzekł za cesarzem być, na złość i przekorę Francuza chciał popierać. Czynił to potajemnie, ale skutecznie.

Nie mógł też los lepiej Walezyuszowi usłużyć jak następcząc mu za pierwszego sprawy jego rzecznika w Polsce Montluca biskupa Walencyi.

Był to człowiek stworzony na dyplomate owych czasów, przewrotny, rozumny, bystry, nie przebiegający w środkach, gładki i słodki, w towarzystwie uprzejmy, znający ludzi i umiejący się do nich zastosować. Ci co z nim przybyli z Francyi i otaczali go, doskonale mu pomagali. Montluc u dawniej sobie znajomego Stanisława Wysockiego kasztelana łędzkiego pod Koninem znalazłszy gościnne przyjęcie, siedząc na wsi, jak pająk rozrzucił sieci niewidzialne dokoła, w które się ludzie łapali.

Zyskiwał Montluc kogo chciał, i kto mu się nastęrczył, bo obiecywał co tylko kto żądać mógł. Nie kosztowało go to bynajmniej, gotów był zobowiązania podpisywać na krocie, chociaż grosza przy duszy nie miał i żył podobno pożyczkami, ciągle się pieniędzy z Francyi spodziewając.

Obejście się jego z Polakami było całkiem różne niż posłów i agentów cesarskich. Słodyczą jednal ich, a nawet różnowierców, choć sam duchowny i biskup, przyciągał głośno objawianą tolerancją. On i Bazin przy nim będący podówczas, nie gardzili zdobyczą najmniejszej muszki, przymilali się szlachcie, jednali ludzi drobnych i małego znaczenia, dobijali się popularności.

Cesarscy posłowie zabiegali po cichu i tajemnie, oni działali otwarcie, mówili głośno.

Przybywającym do kasztelana Wysockiego w gościnę pokazywano dwa piękne wizerunki księcia Andegaweńskiego, uśmiechniętego łagodnie, wyświeżonego, spoglądającego z serdecznością wiele obiecującą, z wyrazem dobroci ujmującej.

Ponieważ w cesarzu obawiano się nieprzyjaciela swobód, Montluc zaręczał, że Henryk gotów je jeszcze rozszerzyć i zobowiązać się do zachowania dawnych nietkniętymi.

Różnowiercom zapewniano swobodę sumienia; wszystkim najszcześliwsze, błogie, obfitujące w złoto panowanie, mlekiem i miodem płynące.

Młody pan lubił się bawić, nie obce mu były też sprawy rycerskie i żołnierzem być miał mężnym, wodzem rozumnym.

Dla wielu już to za nim mówiło, że Niemcem nie był; inni podnosili siłę i znaczenie Francji, która w przymierzu z Polską w szachu mogła trzymać cesarstwo.

Każdy od Montluca wyjeżdżał rozmarzony, upojony, gorącym zwolennikiem Francuza.

Głoszono też po cichu, że królowna Anna, z którą Henryk miał się żenić, była za nim, a nie życzyła sobie zbyt młodego cesarzewicza, bo z rakuzkim domem połączenie zawsze nieszczęście na Jagiellonów sprowadzało.

Po kraju chodziły wieści o tajemnych wysłańcach cesarskich, do których i Gastaldi należał; obudzało to obawy w panach senatorach, gdy ze strony Francuzów, postępujących jawnie, niczego się obawiać nie potrzebowano.

Wiele też przypisać było można staraniom i zabiegom Zborowskich, którzy nie odslaniając się, różnowierców i cały obóz własny na stronę Francuza przetrzucili.

Talwosz znikłszy ostatnich dni pobytu w Płocku, nie znalazł się, aż gdy królowna w Łomży już mieszkała.

Trafił na niezmierne zburzenie umysłów, niepokój i trwogę.

Jak ksiądz biskup chełmski przewidywał, wyjazd samowolny z Płocka niesłychanym na senatorów rzucił popłochem.

Sądziło, w najlepszej wierze, iż królownę opanowali, że nią kierować będą, że uczynią z nią co zechcą. Wszystko to nagle okazywało się złudzeniem, Anna nie myślała ich słuchać i szła swoją drogą wcale się nie oglądając na senatorów.

Posądzano ją więc, że potajemnie musiała układać się i frymarczyć koroną, że mogła ją wydać cesarzowi, że gotową była związać się z Litwą przeciwko Polsce.

Najstraszliwsze widma trapiły przerażonych panów, którym z rąk się wyslizgała władza.

Obawiano się głównie cesarza i rozgałęzionych jego zabiegów. W Osieku na zjeździe polecono dwom panom posłom Słupeckiemu i Sienieńskiemu do Płocka jechać i czuwać, aby cesarscy wysłańcy do królowej przystępu nie mieli i po kraju się nie kręcili bez dozoru.

W Osieku nie wiedziano wcale, że Anna już wyjechała do Łomży. Słupecki i Sienieński nie zastawszy jej tutaj, pognali do Łomży, dając znać do Warszawy na zjazd co się stało.

Popłoch to wywołało większy jeszcze. Zarazem jednak ulękli się Mazurowie cesarza i posłali zalecając swoim, aby szanowano cesarskich.

Przybiegłszy do Łomży, panowie deputaci naprzód do biskupa chełmskiego i do ochmistrza Konieckiego się udali, składając swe listy i domagając się widzenia natychmiast z królowną.

Biskup począł się im tłómaczyć, że wyjazdu powstrzymać nie mógł, a Koniecki mu potakiwał. Trudno było mocą i gwałtem hamować.

Anna natychmiast dała tym ichnościom posłuchanie.

Wyszła do nich z powagą wielką i majestatem, jakby zdawna przygotowana, spokojna i sama zagaiła rozmowę.

— Dziękuję waszmościom panom, żeście mnie od panów senatorów nawiedzić raczyli, gdyż zdawna pragnęłam o wielu sprawach rozmówić się otwarcie, jako mnie i im przystało.

Słupecki, dosyć gorący człek, wnet chciał zacząć o wyjazd i o dalsze panów senatorów względem Anny starania, ale królowna przerwała mu.

— Dzisiaj o tem mówić nie będziemy, spocznicie waszmoście, ja też niedawno z podróży, potrzebuję trochę wytchnąć. Wieczór blizki, czasoby nam dziś nie stało na wszystko co omówić potrzeba, lepiej więc gdy to odłożymy do jutra.

Słupecki i Sienieński, z którymi i biskup chełmski przybył razem, musieli uledez. Podano im wino i słodczyce, ile tam znaleźć było można w zapasach podróżnych nieobfitych. Mówiono o drogach popsutych, o powietrzu po wszystkich ziemiach rozszerzającym się, o tem i owem, nie tykając nic ważniejszego.

Królowna w ten sposób czas do namysłu pozyskawszy, zatrzymała u siebie biskupa chełmskiego i potrafiła tego dokazać, czego się ksiądz Starożrebski po sobie nie spodziewał i nie przypuszczał. Wmówiła mu bowiem, że senatorowie go jej do boku dodali nie dla dozoru, ale do pomocy.

— Wy, mój ojczy, i teraz i zawsze macie moje sieroctwo na sumieniu, powinniście bronić mnie. Ufam, że jutro, gdy do rozmowy przyjdzie, na was rachować mogę. Przemówicie za mną, proszę o to.

Biskup chełmski zdumiał się w początku, nie zrozumiał, zmilczał, lecz w końcu i litością zdjęty, i przekonany prostemi, ale serdecznemi słowy królewnej, z owego strasznego Argusa zmienił się na rzecznika. Łzy miał w oczach.

Przeszedł, sam nie wiedział jak, do obozu Anny.

Zwycięstwo to prawie nic ją nie kosztowało.

Drugiego dnia rano biskup chełmski uprzedził posłów, czekał na nich, i gdy królowna wyszła, w jej imieniu przemówił z wielkiem namaszczeniem, użalając się, że jest zupełnie opuszczoną i zabytą przez panów rad koronnych, że w tym swoim sierocym stanie, nawet od nich żadnego dowodu troskliwości i współczucia nie otrzymała dotąd.

Słupecki i Sienieński, którzy wczoraj biskupa innym widzieli, słuchali go zdziwieni, gdy królowna sama dodała w końcu.

— Miałam pradziada, dziada, stryja i brata królami polskimi, których dobrodziejstw wasze miłości doznawaliście dosyć, a ja dziś po nich sierota nie mam dowodu, abyście to mieli we wdzięcznej pamięci.

Ja w tej żalości mej, opuszczeniu i niedoli, niedostatek we wszem cierpiąc, zwątpiłam już o sercach ludzi.

Słupecki, który śmielszym był, zaledwie rozpocząć zdołał wymówki, iż panowie to złem okiem widzieli, jako królowna poza ich wiedzą się z cesarzem znosiła, gdy mu przerwała.

— Na Boga miłosiernego! czyż mi to może za złe być poczytanym, że mi cesarz powinowaty mój, słowa pociechy przez swych posłów przysłał, a nawet że do mnie siostry, a ja do sióstr pisywałam!

Wszakże wszystkie te listy i pisma, jakiegokolwiek one były, dawałam czytać panu referendarzowi i tajemnic w nich żadnych nie kryłam.

Żadnych praktyk pokątnych mi waszmoście nie możecie zarzucić, bo ksiądz biskup chełmski wie co się tu dzieje.

Słupecki, który ciągle oratora na siebie urząd przyjmował, począł tłómaczyć, iż panowie senatorowie wcale o tem nie wiedzieli, że ksiądz arcybiskup zaniedbał po zgonie króla uroczyście pozdrowić królownę.

Złożył tedy winę na prymasa, i natychmiast co najpilniejsza była, imieniem panów rad domagać się począł, aby królowna do siebie przystępu wzbroniła wszelkim obcym posłom i ludziom o konszachty podejrzanym, a ze dworu swego oddaliła tych co im dopomagają.

Mieli posłowie na myśli Gastaldiego, posądzając, iż się z królowną widywał.

Słupecki się coraz bardziej rozgorączkował, gdy mu Anna usta zamknęła.

— Cesarz JMć dobrze mi życzy, a za jego dobrą wolę dla mnie ja mu nie mogę zniewagą posłów jego odpłacać. Na moim dworze nie dopuszczę jej, możecie waszmoście gdzieindziej ich szukać i ścigać.

Zbity na chwilę z tropu Słupecki, wnet znowu do Gastaldiego powrócił, i począł z jakichś listów jego przytaczać urywki, dowodząc niebezpiecznych praktyk.

Dała mu się królowna wygadać zpełna, lecz w końcu zimno i surowo, z powagą zamknęła.

— Praktyk ja żadnych nie czyniłam i nie czynię, świadkiem mi ksiądz biskup chełmski, więc i posądzaną o nie być nie dopuszczę.

Za radą waszmościów gotowam iść — dodała — ale w niewolę się zaprzędz nie dam.

Ostatnie słowa dodała tak dobitnie, iż Słupecki zamilknąć musiał.

Chcąc naprawić co on popsuł, Sienieński rzekł łagodnie, że Rzeczpospolita jak zawsze panów swych krew i osoby do rodziny należące szanowała, a miała o nich pilne staranie, tak i o królownie zapomnieć nie chce i czuwać nad nią nie przestanie.

— Daj Boże, aby się to ziściło co powiadacie — odparła Anna — a przedewszystkiem proszę, abyście panom senatorom położenie moje i co się tu koło mnie dzieje, opisali i zdali sprawę wierną.

Słupecki też łagodniejszych słów kilka dorzucił.

— Nie dziwujcie się waszmość — przerwała mu królowna — iż się uskarżam przed wami, gdyż godności mej i krwi tej uwłacza w jakim stanie po dziś dzień, ja sierota

i dwór mój ubogi.

W podróży wstyd mi moich kolebek i woźników. Co było ślepych i chromych szkap, to mi wydzielono, choć w Knyszynie kilkaset koni król zostawił. Nieboszczyk inaczej tem chciał rozporządzić.

Co za dziwo! Ci sami ludzie, którzy za życia króla starali się, abym pokrzywdzoną i zapomnianą była, po śmierci też woleli rozszarpać między siebie co zostało, niż mnie jako należne powrócić. Podzielili się tem łupieżce. Czasu swojego zdam sprawę z tego, co się działo, aby na jaw wyszło wszystko.

Trzymam to o panach senatorach, że i tego co ze mną uczyniono, i gwałtu jaki się stał ostatniej woli królewskiej nie pochwałą.

Miała królowa przy sobie przygotowane już listy księdza Krasieńskiego i wojewody Firleja, które położyła przed posłami, żaląc się na nie, iż bez należnego poszanowania pisane były i domagały się więcej niż przystało.

Słupecki listów tych kopie miał i nie potrzebując czytać, rzekł iż tego samego co one zawierały i im się domagać kazano od królowej.

Anna przerwała mu, skarżąc się na to też, że jej do Knyszyna, do ciała brata nie dopuszczono, gdy je do Tykocina miano przeprowadzać.

Sienieński złożył to na powietrze, na zamieszanie, jakie w pierwszych chwilach po zgonie Augusta panowało, i wszczęła się poufalsza rozmowa, w której Anna wszystko co raz już zarzucała senatorom utrzymać się starała, zwłaszcza co do testamentu brata, iż go nie poszanowano.

A ponieważ testamentu tego miała wierzytelną kopię, w Warszawie sobie przez brata oddaną, wniosła ażeby był odczytany.

Słupecki i Sienieński nie sprzeciwili się temu, i ksiądz biskup chełmski zasiadł do odczytania testamentu.

Zaledwie go jednak rozpoczął, gdy kapelan biskupa, Ruszczyk, zapukał do drzwi, chociaż rady nikomu nie wolno było przerywać.

Z twarzy jego, gdy wszedł, dorozumiał się wielce już i bez tego utrapiony ksiądz Starożrebski, iż coś niedobrego przynosił.

Szeptał mu coś do ucha. Posłowie czekali ciekawi, królowa też, gdy ksiądz biskup odezwał się pomieszany.

— Gastaldi przybył tu do Łomży!

Nie była już więc pora ani testament czytać dalej, ani z królową rozprawiać. Słupecki chwycił za kółko i począł wołać, że go ztąd natychmiast uprzętnąć potrzeba.

— Nie zapominajcież przecie — odezwała się Anna do niego — iż posłem cesarza jest, którego drażnić nie przystało. Spadnie to na panów senatorów nie na mnie.

Biskup nieśmiało wyraził radę, żeby królowa odpowiedź cesarzowi na listy jego natychmiast dała Gastaldiemu i sama go odprawiła.

Godzili się na to posłowie.

Królowa im przerwała.

— Posłem cesarskim jest Gastaldi, to prawda, ale się chował na dworze ojca mojego i niejako Polakiem przez to się mieni, więc mu pobytu w kraju zabronić nie można.

— Indigeną przez to nie został — odparł Słupecki — choćby na dworze naszym jak długo chleb jadł; a pod ten czas my cudzoziemców u siebie cierpieć nie możemy.

Wszczęły się tedy spory jak Gastaldiego odprawić, co mówić z nim, jak się go pozbywać, do których królowa prawie się nie mieszając, to tylko sobie zastrzegła, aby od niej się żadna obelżywość cesarskiemu posłowi nie stała.

— A co ichmoście uczynicie — dokończyła żegnając ich — to na ich odpowiedzialność niech spadnie.

Słupecki tedy i Sienieński natychmiast ruszyli szukać Gastaldiego, reszty zabywszy.

Gdy już ksiądz biskup chełmski razem z nimi się oddalał, bo go z sobą mieć chcieli, Anna szepnęła mu, iż wiedzieć pragnie, jak się z Gastaldim sprawa zakończy.

Ze dwojga — panów posłów i królowej sądząc, łatwo potem rokować było, iż, choć przybyli aby Annie w jej położeniu swobody uszczuplić i przykrość uczynić, na końcu sami nie wiedzieli co dalej poczynać i nic nie zyskawszy, myśleli o odwrocie.

Widział to i ksiądz biskup chełmski, który teraz coraz więcej brał stronę królowej.

Do utrudnienia panom posłom ich zadania przyczynił się też i Gastaldi, który wcale im ustępować i zastraszyć się dać nie myślał. Stał przed nimi jako dbały o cześć własną, człek rycerski i poseł cesarski, z godnością wielką i gotowością choćby gardło dać, a pocziwość obronić.

W końcu żwawych rozpraw, jak opowiadał biskup, Gastaldi w istocie rękę na gardło położył i rzekł do Słupeckiego.

— Com powiedział, tego dokonać muszę, pocziwość moja w tem i gardło.

Życie gotów jestem położyć raczej, niż się ztąd ruszyć bez wiadomości cesarza.

I Sienieński i Słupecki równie u królowej, jak u niego mało co wskórawszy, urządzili wieczorem nie czekać dalej i nazajutrz wracać do senatorów z doniesieniem i listem królowej, który wieczorem został przygotowany.

Tak z wielkiej chmury deszczu było mało i Anna co miała utracić na przybyciu posłów, zyskała, utrzymawszy się przy swoim, a zjednawszy sobie biskupa chełmskiego.

Zaledwie posłowie z Łomży wyruszyli, gdy zapobiegając wszystkiemu, co drażnić mogło, Anna posłała po Gastaldiego, prosząc go, aby się nie upierając dłużej, z listem który mu dała do cesarza, nazad do niego powracał.

Musiał się na to zgodzić tem łatwiej, że inni posłowie cesarscy znajdowali się jawnie już tu przybywszy i tymczasowo zatrzymali się w Dziekanowie pod Warszawą.

Po wyjeździe Słupeckiego, królowa tem, że zwycięzko im czoło stawiała i nie dała się zastraszyć, ani przekonać, przy swoim stojąc, zyskała na energii i postanowiła niezłomnie trwać przy tem, aby prawa jej poszanowane były.

Do sypialni czasem powracając wprawdzie, gdy jej nikt nie widział oprócz Dosi, modląc się zapłakała, lecz gdy trzeba było do obcych a szczególnie do niechętnych wyjść, nie brakło jej nigdy na mocy, na wymowie i na męzkim prawdziwie charakterze.

Cudem to prawie nazwać było można co się z nią i w duszy jej działo. W oczach ludzkich rosła i potężniała.

Ksiądz biskup chełmski patrzył na nią z poszanowaniem i szeptał, że to było sprawą Bożą.

Co się potem działo w Warszawie za powrotem posłów i jak senatorowie przyjęli sprawozdanie a list królowej, opowiedzieć trudno.

Inaczej jak popłochem nazwać tego nie było można, lecz strach łączył się z gniewem wielkim, z odgrózkami, z przemyślaniami nad tem, jak tę biedną królowę, sierotę będącą na łasce narodu, zmusić do posłuszeństwa i poddania się.

Tymczasem zwołany był zjazd szlachty do Kask, na który Anna wysłała listy od siebie, a w nich oświadczyła, wprawdzie domagając się zezwolenia, lecz razem stałe objawiając postanowienie przybycia na sejm do Warszawy!

To dopełniło miary! Senatorowie strwożyli się mocniej jeszcze.

Przybycie na sejm oznaczało zajęcie należnego stanowiska, pozyskanie ludzi, zdobycie wpływu na sprawę, którą kraj sam chciał rozstrzygnąć.

Potrzeba więc było królowę zatrwożyć, zagrozić jej, zmusić do posłuszeństwa.

Radzono nad tem.

Sprawa Henryka i Francuzów dotąd mniej głośno, lecz daleko szczęśliwiej się zdawała rozwijać niż cesarska. Montluc zyskiwał z dniem każdym serca; Zborowscy potajemnie szerzyli propagandę, która szła tem lepiej, że i katolików zaspokajała, a po cichu mówiono, iż papież ją popierał.

Wszystko tedy zdawało się iść jak najszybciej dla Francuzów, gdy jak piorun nadbiegła wieść o rzezi św. Bartłomieja.

Na odgłos o niej, z Niemiec tu przyniesiony, wszyscy innowiercy na raz odpadli z oburzeniem, i Montluc znalazł się opuszczonym. Sprawa się wydawała już przegraną.

Królowa odebrała o tem wiadomość w Łomży i poszła się zamknąć ze łzami swemi, aby nie okazać jak ją okrutnie dotknęła.

W całym kraju jedno się powtarzało, iż nikt nie zechce kata, zbroczonego krwią, widzieć na tronie.

Obwiniano nietylko Karola IX., ale królowę matkę i księcia Andegawęńskiego. Cesarz mógł się radować, gdyż najniebezpieczniejszy ze współzawodników zdawał się uni-

cestwionym.

Na zjazdach szlachty, wszędzie gdziekolwiek doszły relacje o rzezi, a były i przesadzone i namiętne, zaprzysięgano Francuza odpychać i nie dać się z nim odzywać nawet jego stronnikom.

Zborowscy też w początkach umilkli przybici; lecz nie darmo biskup Walencyi był wysłanym do Polski, a jeden z najzdolniejszych owego czasu pisarzy w pomoc mu był dodany.

Zaczął od tego Montluc, iż napadających na niego o cierpliwość prosił, dopóki by z Francji nie odebrał wiadomości wiarogodnych. Zapewniał z uśmiechem, że przeczuwa potwarze i złośliwości, iż król i królowa matka oczyścić się potrafią z zarzutów mordowania własnych poddanych.

Pibrac już przygotowywał swój list do Elvidiusa; pisano memoriały, mające wprędce nadejść do Polski, w których dowiedzionem było, że król wcale winien się nie czuł. Owszem, okazał największą litość dla ranionego admirała Coligny, gdy się dowiedział, iż on i Hugonoci na życie jego sprzysięgli się i tejże nocy na Luwr napaść mieli. Musiał się więc król bronić i dozwolił Gwizyuszom uprzedzić spiskowych. A potem — potem sam lud ujmując się za pana swojego, oszalały dokonał reszty.

Winnemi więc byli sami Hugonoci, którzy na życie rodziny królewskiej czyhali.

Wszystko to jasne było, jawne, dowiedzione jak na dłoni.

Tysiącami relacyj tych nowych o rzezi św. Bartłomieja rozsypano natychmiast w całe Polsce. Drukowano je w Niemczech i w Krakowie.

Montluc pokazywał słodko uśmiechnięty wizerunek Henryka, pytając czy młodzieniec tak śliczny, tak łagodny posądzonym być mógł nawet o okrucieństwo.

Oprócz tego owa rzeź — dodawał biskup Walencyi — była w ustach niechętnych przesadzoną, powiększoną, padli tylko winni i zdrajcy.

Na gorętszych różnowiercach pisma Pibraca, opowiadania Montluc, szczegóły, które przynosili jedni za drugimi przybywający z Francji wysłańcy, nie czyniły zrazu wrażenia. Nie wierzono im, wołano: Precz z Francuzem! Lecz tu, jak zawsze i wszędzie, tłumy się dały ciągnąć przewodzcom, a Zborowski, przeciwko Firleja stojąc, gotów był raczej swoje różnowierstwo narazić, niż ustąpić mu i uznać się pobitym.

Począł dowodzić, że od wszelkiego prześladowania różnowiercy się zabezpieczyć potrafią, przysięgę wymódcz, prawo postanowić!

Gwałtowne wrzenie zwolna łagodzić się i ostygąć zaczęło.

Królewna oplakawszy zrazu pogrzeb swych tajemnych nadziei i marzeń, czekała niecierpliwie wieści z Francji. Przysłano i do Łomży owe listy Pibraca i mnogie inne objaśnienia, które w zupełnie nowym świetle ukazywały tę straszną rzeź nocy św. Bartłomieja. Król był do niej zmuszonym w obronie własnego życia, a lud — lud wszędzie jest okrutnym.

Skłonna do uwierzenia wszystkiemu, co nadzieje jej żywić mogło, królewna z wdzięcznością opatrności przyjęła tę wiadomość pocieszającą. Zdawało się jej to prawdziwym, niewątpliwym.

Chmurne czoło wypogodziło się znowu.

Niezwykła była ona nigdy odzywać się z własnym zdaniem; gdy mówiono o cesarskich i francuzkich kandydatach, milczała i słuchała, lecz poznać mogli otaczający ją, że się radowała oczyszczeniem od zarzutów rodziny panującej we Francji.

Talwosz i Dosia, którzy usiłowali z twarzy jej czytać, aby odgadnąć myśli i wedle niej postępować, utwierdzili się w przekonaniu, że królewna sprzyjała Henrykowi.

Litwin biegał, poszukując świstków i relacyj, któreby uspokoić mogły.

Anna niemająca dotąd wprost od panów rad wiadomości o tem, co postanowić chcieli względem niej, wiedziała tylko przez pilno rozwiadującego się Talwosza, a po trosze i przez pozyskanego sobie biskupa chełmskiego, że się na nią groza i burza gotowały.

Uprzedzano ją, że panowie nietylko do Warszawy dozwolili jej nie chcą przybyć, ale myślą gdzieś dalej od granic, od stolicy wyznaczyć rodzaj więzienia.

Przebąkiwano o Łęczycy, o Krasnymstawie.

Gdy jej o tem napomknął ksiądz Staroźrebski, nie spostrzegł najmniejszej zmiany w twarzy; odpowiedziała mu zimno ale stanowczo.

— Nie pojedę tam, przeniosę się gdy zechcę i gdzie zechcę. Gwałtu mi uczynić nie mogą, a ja do niewolniczego posłuszeństwa nie jestem obowiązana.

Starcie się z panami rad zdawało się nieuchronne.

Siedziano w Łomży, ale Talwosz miał wydane rozkazy, aby do podróży, na wszelki wypadek, gotowość była zawsze.

Ponieważ odgróźki i warczenie przeciw królownie z Kask dochodziło, gdzie miano coś postanowić, aby wiedzieć czemu się i jak opierać, Anna wyprawiła potajemnie Talwosza, języka potrzebując.

Człowiek to był do wszystkiego, który znikał i powracał cudownie, odbywał podróże z pośpiechem niesłychanym, docierał wszędzie, umiał się dowiedzieć tajemnic i nigdy z próżnemi nie wracał rękami.

Królowna, którą wielu zawiodło, miała w nim nieograniczone zaufanie, a gdy Zagłobianka podjęła się pośrednictwa i zaniósła mu rozkazy, Anna pewną być mogła, iż pójdzie w ogień i w wodę.

Sprawił się i tym razem Talwosz żywo, a nie wrócił z niczem; ale złe przywiózł wiadomości, których przed Anną ukrywać nie było można. Wiedział on o tem, że chciała być o wszystkim zawiadomioną, bez oszczędzania strapień, aby zawczasu do oporu przygotować się mogła.

Talwosz ze smutkiem przyznać musiał, że się tak bardzo sierzono i odgrażano tam na królownę, że postanowiono ją wysłać do Łęczycy lub Krasnostawu, a do Tykocina wyprawić dla zagarnięcia skarbów, które testamentem do niej i do sióstr należały, o czem senatorowie słuchać nie chcieli.

Wszystkie te pogróźki i posądzenia, że królowna z Gastaldim potajemnie i cesarzem miała jakieś układy, że samowolnie coś poczyniała — gdy Talwosz jej przyniósł — wysłuchiwała ich bardzo cierpliwie, jakby zawczasu przygotowana, podziękowała mu za gorliwość i odeszła, słowa nie rzekłszy, ale nie okazując, aby się tem zakłopotać.

Talwosz nie śmiał powtórzyć Annie co mu powiadano jako niepewne jeszcze, że senatorowie mieli żądać wydania kluczy od tykocińskich skarbów, i że dla pilniejszego dozoru nad osobą królownej wyznaczeni byli w Krasnymstawie oprócz biskupa chełmskiego, pan Andrzej z Tęczyna kasztelan bełzki, a w Łęczycy Andrzej Dembowski kasztelan sieradzki.

Talwosz powiedział Dosi, że natychmiast chciano Annę z Łomży wyprawić.

Wszystko się to sprawdziło wkrótce, i jednego dnia dano znać królownie, już na wszystko przygotowanej, że posłowie od panów senatorów biskup kujawski Karnkowski i wojewoda łęczycki Jan z Bogusławic Sierakowski do Łomży zawitali. Pobiegł na spotkanie ich biskup chełmski.

Wybór tych posłów wskazywał, że chciano powagą ich większy nacisk na wymagania położyć i zapobiedz wszelkiemu ze strony królownej oporowi. Rozumem i dostojeństwem odznaczał się Karnkowski, nie ustępował mu Sierakowski, zręczniejszy i żywszy od niego.

Wiadomość o przyjeździe ich nietylko że nie przestraszyła Anny, ale zdawała się jej wielce pożądaną.

Biskupowi chełmskiemu dała wiedzieć natychmiast, że przyjmie biskupa i pana wojewodę jak tylko odwiedzić ją zechcą.

W kilka godzin też potem Karnkowski z wojewodą przyszli powitać Annę, która przyjęła ich z wielkim majestatem, ale nader zimno i obojętnie.

Na zapytanie z czemby do niej wysłani byli, biskup kujawski oświadczył naprzód tylko, że żądano, aby królowna z Łomży wyjechała natychmiast do Krasnegostawu lub do Łęczycy.

— Dlaczegoż po mnie tego wymagacie? — spytała zimno.

— Otwarcie powiem — przerwał Sierakowski — iż, niesłusznie pewnie, boją się panowie senatorowie, aby tu Litwa nie zabiegła i nie starała się skłonić miłość waszą do działania na zerwanie Unii.

Anna uśmiechnęła się ironicznie i poruszyła ramionami.

— Posądzenie to dla mnie obelżywe jest — rzekła — ale ja przebaczyć muszę. Co się tyczy Krasnegostawu lub Łęczycy — dodała — stanowczo wam oświadczyć muszę, że ani do jednego, ani do drugiego mi wyznaczonego miejsca nie po-ja-dę.

Tak, nie pojedę. Wybiorę się tam, gdzie mi się zda znajdować, bo niewolnicą uczynić się nie dam.

Wojewoda zbladł, biskup spuścił głowę, nie odezwali się już ani słowa. Sam ton, jakim wyrzeczony był wyraz przez Annę, nie pozostawiał wątpliwości, iż się skłonić nie da do posłuszeństwa bezwarunkowego.

Uzbrojona była do walki z senatorami.

Dnia tego biskup Karnkowski już nawet nie rozpoczynał nalegania, i krótko zabawiwszy pożegnał królową.

Powrócili do niej nazajutrz z wojewodą. Karnkowski na nowo oświadczył, iż z Łomży oddalić się Anna musi, bo panowie senatorowie mają wiadomość o tem, iż Litwa zmierza do zerwania Unii i będzie się starała nakłonić ją ku sobie. Sama więc królowa dla spokoju własnego powinna była uniknąć nacisków, którym możeby się oprzeć nie potrafiła.

Nie przyznała się Anna, iż Chodkiewicz ją już kusił wyborem na W. księstwo, ale odpowiedziała zimno, że niesłusznie ją posądzano, jakoby bez rady panów mogła i chciała jakieś z Litwą czynić układy.

Wtem wojewoda chcąc odrazu pozbyć się wszystkiego co najcięższe mu było, dodał że kazano im się domagać kluczy od skarbów tykocińskich, w których skrzyniach znajdowały się też przywileje koronne.

Anna spojrzała z góry na niego.

— Pojedziemy więc razem do Tykocina — rzekła — i przy mnie otworzymy skrzynie, aby szukać przywilejów, o których ja wiem tylko tyle, że ich tam niema!

Sierakowski i Karnkowski zaniemieli, królowa siedziała naprzeciw nich majestatycznie, dumnie, po królewsku zbywając się natrętów.

Biskupowi zrobiło się nad wyraz przykro, widział się w konieczności wytoczenia wojny ze słabą niewiastą, do której przygotowanym nie był. Niemilem mu było stawić się nieprzyjacielem tej ostatniej gałązki Jagiellońskiego szczepu.

Począł więc, po chwili milczenia i namysłu, z goryczą i żalem wywodzić do jak wielu posług go Rzeczpospolita zażywała, jak je sprawiał zawsze ochotnie i szczęśliwie, jak i teraz z chęcią i wolą dobrą jechał tu do królowej dla porozumienia się bez sporu, dla dobra obustronnego.

Nie zbywało na wymowie biskupowi, a gdy raz rozpoczął niełatwo się powstrzymać mógł, mówił więc długo, z uczuciem. Tłómaczył dlaczego wyjazdu domagano się, gdyż przejęto listy Litwinów i wiedziano o ich intrygach.

Łatwo było się domyśleć, że odmówienie kluczy i wydania przywilejów tak dobitne, strwożyło też księdza Karnkowskiego. Z niezmiernym zapalem, w uniesieniu zbytecznym może, przypuszczając, że zabiegi jakieś są na opanowanie gwałtowne tronu z pomocą i za wiedzą Anny, zawołał.

— Jako senator i jeden z rady koronnej obowiązany jestem miłości waszej oświadczyć uroczyście, że cudzoziemcy napróżno tu przebywają w Polsce i różne starania czynią; ani W. Kr. Mość, ani nikt w świecie tego nie dokona, aby nam przeciw woli naszej pana narzucił.

Pierwej ciała i szaty nasze krwią się opluczą, niż my tego dopuścimy!

Uniósł się jeszcze więcej biskup i nierozważnie dodał.

— O tem W. Kr. Mość myśl i my się o to starać będziemy, co jest z wolą Bożą, zgodą powszechną, ale tego nie dokażesz ani praktykami, ani dumą swą, i zginiesz... z żalością to mówię i z płaczem.

Królowa słuchała blada i poważna, a Karnkowski raz za daleko się posunąwszy, nie wiedział teraz jak złagodzić wrażenie swych gróźb; mówił więc ciągle, nie mogąc poprzestać, o przejętych skryptach, o praktykach tajemnych, o tych których Anna do pomocy używała... i skonkludował, iż w Łomży dłużej pozostać nie mogła.

— Słuchaj W. Kr. Miłość nas, zaufaj nam — mówił — Bogu na chwałę, a sobie i nam na pożytek. Miejsce tu ku mieszkaniu niebezpieczne jest, obrony nie masz, zawarcia żadnego, ludzi około miłości waszej niewiele. Obcy przybiegają, wciskają się, ztąd niebezpieczeństwo i podejrzenia i złe mowy.

Książę Lignicki przejeżdża się po kraju, książę Pruski pomoc cesarzowi obiecuje.

Powtórzył wręście biskup wymagania wyjazdu i wydania przywilejów koronnych z Tykocina.

Zdało się jemu i wojewodzie, że wymową tą, zakłęciami, groźbami pokonał Annę, lecz okazało się, że trwała niewzruszona przy swoim.

Napróżno zeszło godzin kilka i posłowie nic nie dokonawszy odejść musieli. Dostało się tedy księdzu biskupowi chełmskiemu, a potem ochmistrzowi Konieckiemu za to, że musieli dopuszczać do Anny ludzi, którzy ją podbudzali, utrzymywali w oporze, bo nie mogli przypuścić, aby tę siłę charakteru sama z siebie brała.

Wygadał się z tem Karnkowski przed ochmistrzem, który Bogu ducha był winien, że Litwa jakoby chciała się pozbyć Anny osadzając ją na księztwie Baru we Włoszech, a Korona lepiej o niej myślała.

Trwało parę dni naleganie i stateczny opór królowej, która oświadczyła ponownie, iż ani do Krasnegostawu, ani do Łęczycy nie myśli i nie pojedzie, choćby dlatego, iż potrzeba było przebywać w podróży zapowietrzone jawnie okolice.

Zgadzała się zaś na to, aby w bliskości Warszawy osiąść tymczasowo w Piasecznie, choć tam odpowiedniego pomieszczenia spodziewać się nie mogła.

Biskup i wojewoda, którym jadąc zdawało się, że z jedną osieroconą niewiastą łąco trafią do końca, pracowali nadaremnie kilka dni, i musieli się uznać pokonanymi.

Miała tę wyższość osobliwą nad wymownym biskupem Anna, że mówiła i odpowiadała spokojnie, bez namiętności, bez gniewu, nie unosząc się, ale nie dając się złamać.

Nie brała za złe Karnkowskiemu jego występów gwałtownych, odzywała się jak przystało do duchownego, z pokorą, łagodnie, lecz nie ustępując ani na włos z tego co postanowiła.

Biskup i wojewoda zgodzili się, radzi nie radzi, na Piaseczno.

Było to jedno co zyskali u królowej i wyjeżdżając musieli powiedzieć sobie, iż powracali tak jak z niczem. Jagiellonka odniosła zwycięstwo, choć radości zbytniej z tego nie okazywała.

Miała wiele innych powodów do troski i smutku. Ta Litwa, którą posądzano, iż w spisku z nią była, odgrażała się, że wcale testamentu króla uznawać nie chce i nie myśli, że jego spadkobiercami nie rodzeństwo, ale kraj być powinien.

Panowie koronni, równie łaknący grosza dla opróżnionego skarbu, gotowi byli na wspólnie z Litwinami przystąpić do podziału.

Zgodzono się obejrzeć i sprawdzić co i jak się tam w Tykocinie znajdowało.

Wiemy już z opowiadania tego, iż król powierzył straż skarbów tykocińskich rotmistrzowi Bielińskiemu, którego wierności ufał, a kazał mu powiedzieć i wymógł na to przysięgę, że kluczy nikomu nie da, ani przystępu, oprócz królowej Anny.

Gdy do Łomży doszła wiadomość, że się Litwini i panowie koronni wybierali do Tykocina, pobiegł zaraz Talwosz rotmistrza Bielińskiego od królowej zakląć, iżby zaufania w nim położonego nie zawiódł.

Poselstwo to wcale nie było potrzebnem. Gdy Talwosz nadbiegł, już po wszystkim znalazł, a Bielińskiego tak spokojnego, jakby wcale mu nic nie zagrażało. Stary wojak był jednym z tych ludzi, którym ani wojewodowie, kasztelanowie, ani biskupi powagą swą senatorską imponować nie mogli. Cześć swą i słowo rycerskie stawiał tak wysoko, iż za nie gotów był dać życie.

Z zimną krwią zdał relacyą Talwoszowi, iż w istocie z Litwy wyznaczeni starosta żmudzki i Wojna pisarz litewski, wraz z wojewodą sandomirskim i kasztelanem gnieźnieńskim przyjechali byli do Tykocina w zamiarze opatrywania owych skarbów. Tym zaraz na wstępie bez ogródki oświadczył Bieliński.

— Obejrzyjcie waszmościowie czy jest należyty porządek około ciała królewskiego i około sklepów opieczętowanych, ale nie żądajcie odemnie, abym złamał słowo. Jestem człowiekiem sędziwym i rycerskim, nieboszczykowi królowi przysięgałem, a prędeż życie stracę niż przysięgę moją naruszę.

Panowie tedy zażądali, aby on i wszyscy na zamku w Tykocinie nową przysięgę złożyli Koronie i Litwie, — Bieliński się oparł.

Poswarek się stał i zamięszanie z tego powodu, rotmistrz trwał przy swoim nieporuszony.

Groźono mu pozwaniem na zjazd do Warszawy, nie pomogło i to. Gwałtu popełnić nie ośmielono się i sklepy zostały nienaruszone.

Talwosz przywiózł pocieszającą tę nowinę w chwili, gdy już się wybierano do Piaseczna.

W ten sposób królowna szczęśliwie się przy swem utrzymała i miała się zbliżyć do Warszawy, do której chciała się dostać, choćby to panom senatorom niebardzo miłym być miało.

Wśród zimy, po najgorszych drogach, z niewygodami wielkimi puściła się królowna w tę podróż, do której była na pozór zmuszoną, a w istocie odpowiadała ona jej życzeniom: zbliżała ją do miejsca, gdzie zjazdy odbywać się miały i czynną być mogła.

Dotąd wiodło się wszystko, choć zdobywać musiała przebojem stanowisko, które zając potrzebowała. Od śmierci króla owa sierota bezsilna już doszła do tego, iż straszną się stała, i swoją wolę mieć mogła. Panowie musieli się z nią rachować.

Co się tam działo w duszy jej? jak potrafiła utrzymać się na zdobytym stanowisku, nie mając pomocników, oprócz maluczkich sług wiernych? jeden Bóg wiedział.

Widząc ją tak śmiało kroczącą coraz dalej, nie dającą się zastraszyć, ani zbić z raz wyznaczonej drogi, panowie nie pojmowali, aby tę siłę w sobie samej czerpała; roilo się im, że była w zмовie z cesarzem, i że im chciała pana narzucić, nie dopuszczając elekcyi.

Więc poprzysięgano, zaklinano się, że nie dozwolą, aby im panował, kogo sami nie wybiorą.

Ponieważ ani głupawego Konieckiego ochmistrza niepodobna było posądzać o posiłkowanie królownie do tych urojonych spisków, ani biskupa chełmskiego, ani Czarnkowskiego, który za sobą zacierał tropy, na Talwosza się zwrócili oczy, jemu przypisywano wszystko: opór, konszachty potajemne...

Żądano od Anny aby go oddaliła. Królowna w chwili wielkiego zburzenia umysłowa sama nie wiedziała co począć i potajemnie kazała Litwina przywołać, który już o wszystkim wiedział.

Nic mu to nie zachmurzyło czoła, choć ode dworu królownej odejść nie rad był dla Dosi.

— Co ja pocznę, Talwoszu mój — odezwała się do niego Anna wzdychając — oczy mi tobą wykałają.

— Jeżeli W. Kr. Miłość dla mnie mizernego służki swojego cierpieć masz — rzekł Talwosz kłaniając się — proszę usilnie rozkażcie mi precz iść, ja nie mniej gorliwie służyć będę.

Łza się zakręciła królownie w oczach.

— Uspokoić potrzeba panów senatorów — dodała — ale się nie oddalajcie z Warszawy. Da-li Bóg, ja wierne służby nagrodzę.

Jaka nagroda najmilszą mu była, nie powiedział Talwosz, odszedł na wszystko gotowy.

Nazajutrz Anna przy biskupie chełmskim przywołać go kazała i oświadczyła, że dla spokoju i nalegania panów żąda, aby od niej odjechał.

— Stanie się po woli miłości waszej — odpowiedział kłaniając się Litwin — dziękuję za wszystkie łaski, jakich doświadczyłem i odchodzę życząc tylko, aby miłości waszej drudzy równie wiernie jak ja służyli.

Urzędownie tedy Talwosz został odprawiony.

Wesoło jednak poszedł do towarzysza Boboli.

— A co! druhu miły! — rzekł — mnie kazano precz! Wyście szczęśliwi, że panowie senatorowie was w posądzeniu nie mieli i zostajecie.

Bobola uszom nie dowierzał. Zdawało się nietylko jemu, ale nawet Konieckiemu, Żalińskiej nawet, która go nie lubiła, niepodobieństwem ażeby się na dworze bez Talwosza obejść mogli.

Teraz dopiero okazało się, jaką on tu niepokazną, cichą a czynną był wszystkiego sprzężną.

Nigdy z tego chluby nie szukał, nie wynosił się, łaskami nie chwalił, wpływem nie nadymał, ale wszędzie go było pełno, każdemu dobrą radę dał, karku chętnie nastawił, a gdy niejasno w czym było, on najlepiej dojrzał drogi.

Dla królownej był to służka nieopłacony, nieoszacowany, ale wyrzekając się go, wiedziała że nie straci.

Z dobrą miną tegoż dnia przyszedł Talwosz na pożegnanie do dobrego, łagodnego księdza biskupa chełmskiego, który go też lubił i miał tęsknić po nim.

— Przyszedłem najprzewielebniejszego ojca pożegnać — rzekł całując w rękę — pędzą mnie ztąd, niema rady. Kiedy już Rzeczpospolita w niebezpieczeństwie być ma przez

Talwosza, trzeba ją ratować! więc choćby głową w przerebłę.

Biskup stał zafrasowany.

— Kochanku — rzekł — wierzaj mnie, jam temu nie winien nic. Ochmistrzowi Konieckiemu byłeś solą w oku, ten na ciebie zrzucił wszystko.

Śmiał się Talwosz.

— Gdy ja pójdę precz — rzekł — nic przeto on więcej tu znaczyć będzie.

Ksiądz biskup westchnął powtórnie.

— Dokądże ty? na Litwę? — spytał.

— Bóg jeden wiedzieć raczy — odparł Talwosz. — Człowiek czasem swobodę odzyskawszy, nie wie co z nią robić, tak i ja. Na wsi mi się nie chce siedzieć. Siła jest panów, do których dworów człowiek się zda, ale nie do każdego rad pociągnie. Czas jakiś pewnie zostaną w Warszawie.

Pobłogosławił go ksiądz Wojciech i tak się rozstali.

Koniecki ochmistrz, gdy z nim przyszło się żegnać, z kolei poprzysięgał, iż on wcale przyczyną nie był odprawy, że złe języki mogły to składać na niego, ale się czuł niewinnym.

— Albo ja miłość waszą winuję? — odezwał się Talwosz — Boże mnie uchwaj! Przyszedłem tylko z przestrogą, że co dziś mnie, jutro może miłość waszą spotkać. Nie stanie Talwosza a zrobi się co nie po myśli, zrzucą teraz na ochmistrza.

Zasepił się Koniecki, ale nadto ufał wysokiemu urzędowi swojemu, ażeby się uląkł bardzo. Nosił się z godnością tą, pewien będąc, że nawet złe języki dosięgnąć nie mogły wyżyny, na której się znajdował.

Zalińska gderliwa tym czulszą chciała się okazać dla Talwosza, im się w duszy cieszyła więcej z tego, że się go pozbędzie. Miała nadzieję, że syn jej skorzysta z tego i zbliży się swobodniej do Zagłobianki, która patrzeć nań nie chciała.

Najcięższe było pożegnanie z Dosią. Talwosz nie mógł dotąd zbadać dziewczęcia i na przemiany to nadziejami najslodsze się ludził, to rozpaczał. Dosi ani on, ani nikt w świecie zrozumieć nie mógł.

Dumna, zimna, szyderska, obchodziła się ze wszystkimi mężczyznami tak, jakby z nich żadnego siebie godnym nie uznawała.

Spotykało to Talwosza co innych. Czasami słuchała go cierpliwiej, okazywała przyjacielską, ale zaledwie z tego zapragnął skorzystać, aby się zbliżyć i spoufalić, natychmiast oblekała się dumą i stawała nieprzystępną.

O miłości ani mówić nie dozwalała.

Talwosz, zamożny po rodzicach szlachcic, pięknego imienia, był dla niej pożądanym mężem, ale o wyjściu za mąż słuchać nie chciała.

Korzystając z tego, iż pożegnać ją miał, Litwin postanowił raz jeszcze spróbować rozmówić się z nią stanowczo.

Dosia, która pierwsza wiedziała tu wszystko, tak iż powiedzieć było można, iż myśli królowej odgadywała, o odprawie Talwosza była uwiadomioną wcześniej. Nie zdziwiła się, gdy wypatrzywszy chwilę, samą ją w komorze królowej zastał i oświadczył, że przyszedł z pożegnaniem.

Zagłobianka, która około krosien jakichś zajęta była, rzuciła je i podeszła ku niemu.

— Panno Doroto — odezwał się Talwosz — serce mi się kraje. Mało mi nieraz było raz lub dwa widzieć ją we dnie, a teraz Bóg wie, czy raz w tydzień mnie to szczęście spotka.

A gdy Dosia milczała dodał.

— Niechże choć przy tem rozstaniu wolno mi będzie raz jeszcze powtórzyć, żem ja służą jej wiernym do grobowej deski, a siebie i co mam u nóg waszych składam.

Zagłobianka się cofnęła, twarzyczka jej zbladła i brwi się ściągnęły.

— Dalibyście pokój temu — odpowiedziała. — Wszyscy wy mężczyźni, gdy się liczko podoba toż samo oświadczać i mówicie... a no na lodzie nie budować.

— Jam tedy nie więcej wart niż drudzy w oczach waszych, panno Doroto? — zapytał smutnie Talwosz.

— Nie mniej nad innych, ale pono i nie więcej — powtórzyła Zagłobianka. — Albo waszmość znasz sam siebie? Ja to tylko wiem, że pókim młoda, a kraszy trochę jest, ona za wszystko płaci, nie stanie jej, pocznie się wypominanie, żem ani mienia ni imienia nie przyniosła, a ja na to się narażać nie chcę, i za mąż iść nie myślę.

Talwosz głową zawahał.

— Mnie się zda, że gdzie wielka miłość jest, tam ani imienia ani mienia nie potrzeba.

— Tak to się waszmości zda — rozśmiała się z przymusem Dosia — a nie dosyć was, rodzinę macie, ojca, matkę, braci, siostry, powinowatych, ci oczy sierocieby wykałali. Proszę więc nie mówmy o tem.

— Jeżeli drugim tak samo jak mnie odpowiadać będziecie — odezwał się Talwosz — gotówem czekać aż się o wiernej miłości mej przekonacie.

Zagłobianka zwróciła rozmowę.

— Więc was odprawiono — rzekła — ale wy się odprawiać od królewnej nie powinniście.

— Ani też myślę — odparł Talwosz.

Zostanę w Warszawie. Z Piaseczna niedaleko do mnie będzie, gdybym się miał zdać na co. Zresztą widzi mi się, że i królowna rychło do Warszawy się przeniesie.

Gdybyście mnie na co potrzebować mieli — dodał w końcu — każcie szukać w gospodzie pod Białym koniem u Barwinka, za krakowską bramą.

Ponieważ Zagłobianka nie odchodziła, wniósł Talwosz, że mu ma jeszcze coś do powiedzenia; czekał rad, iż się rozmowa przedłużała.

Dosia cichym głosem poczęła.

— Nieprawdaż? Mnie się zdaje, że choć panowie senatorowie naszą panią posądzają o to, iż z cesarzem jest w potajemnej zмовie i z nim spiskuje, myślą się bardzo. Więcej ona sprzyja Francuzowi.

Talwosz głową dał znak potwierdzający.

— Najlepszym dowodem tego było — dodała Dosia — gdy wiadomości nadeszły o tej rzezi okrutnej, zgryzła się tak, że po całych dniach słowa od niej dopytać nie było można. A potem, jak począł biskup Walencyi rozsyłać pisma, które oczyszczały króla i królowę, naczytać się ich nie mogła. Kazała mi sobie po nocach raz i drugi odczytywać i tłómaczyć.

Spojrzała na Talwosza.

— Jam też domyślił się, że z cesarzem nasza pani dlatego tylko umyślnie zdawała się na dobrej stopie, aby strachu senatorom napędzić i nie dopuścić lekceważenia.

— No, to powinniście, jeżeli tak mniemacie — wtrąciła Dosia — powinniście wiedzieć, co czynić. Królowna znaku nie da, ażeby Francuza popierano, bo się wstydzi, ale przyjaciele jej odgadłszy myśl, starać się powinni podług niej się sprawiać.

— Ani słowa — odparł Talwosz — tylko tacy przyjaciele a słudzy jak ja, nie wiele mogą.

— Nieprawda — przerwała Dosia gorąco — kto chce, ten może wiele, a mali ludzie czasem nieznacznie sprawy wielkie popierają skutecznie, tyle tylko, że potem ich robota na cudzy idzie rachunek.

— A ja się też chwalić i korzyści z niej dla siebie ciągnąć nie myślę — odpowiedział Talwosz. — Byle naszej pani usłużyć, zapłaty, ani chwalby z tego nie szukam.

— Bóg wam to nagrodzi — dodała Dosia uprzejmie. — Wiecie więc co czynić... róbcie.

— Nie omieszka — rzekł kłaniając się zabierającej do odejścia Talwosz. — Pozwolicie abym, gdy potrzeba się okaże, zgłosił się do was?...

— Czemuż nie — cicho szepnęło dziewczę — ale o tem zapominać nie trzeba, że ludzie mnie i was będą szpiegowali. Ostrożnym musisz być. Bóg z wami.

Talwosz skłonił się raz jeszcze.

— A! jak wy, panno Doroto, nielitościwi jesteście!

Położyła palec na ustach piękna Zagłobianka, twarz jej posmutniała.

— Ani słowa!

I odeszła żywo.

Królowna mieszkała w Piasecznie. Ze wszystkich tych pustych zamków i dworów, które dotąd od śmierci brata zajmowała czasowo, dwór tutejszy najnędniejszym był.

Królowna musiała zajmować izby nieopatrzone, zimne, więjące, w których pieców brakło, ław i stołów, a nie wszędzie tokowisko zastępowały podłogi. Dla niej i dla kilku osób ze dworu jako tako pootymano ściany i okna, ale reszta służby gorzej niż na

obozowisku cierpiała, a zima była ostra.

Żaden z tych panów senatorów, którzy ją tu siedzieć zmuszali, nie byłby wytrwał w takiej obrzydłej dziurze. Królowna znosiła nie uskarżając się, a gdy Żalińska i Zagłobianka lub Koniecki poczynali piszczec, zamykała im usta. Miała w tym myśl jakąś. Właśnie to nędzne pomieszczenie posłużyć jej najlepiej mogło dla wytłómaczenia przeniesienia się do Warszawy.

Nie pytając o pozwolenie, już razy kilka z Piaseczna jeździła do miasta, zatrzymywała się tu po dniu i więcej. Za każdym razem przyjazd jej popłoch obudzał, lecz w końcu ludzie się z tem oswoili, a królowna obracała się swobodnie.

Dosia spostrzegła, iż miała wielką ochotę przenieść się stale na zamek, ale się jeszcze wahała, jakby sposobnej wyczekując chwili.

Nie zwierzała się ze swych zamiarów nikomu.

Sprawami cesarskich posłów i innemi, o które ją posądzano, że się niemi porała, nie zdawała się bynajmniej zajmować. Cała jej troska i staranie zwrócone było na most na Wiśle pod Warszawą.

Było to wielkie, ulubione dzieło Zygmunta Augusta, które on rozpoczął z gorącym pragnieniem widzenia jeszcze za żywota ukończonem. Leżało mu ono na sercu, dopytywał o nie na śmiertelnem łożu, dawał na to pieniądze ze swej szkatuły, a powierzwszy dokonanie staroście warszawskiemu Wolskiemu, do ostatniej godziny troszczył się o nie.

Na owe czasy było to dzieło trudne, kosztowne, wielkie.

Most ten, któryby był jakoby wcieleniem idei Unii dwóch narodów, mający połączyć dwie połowy Rzeczypospolitej i ułatwić wymianę ludzi i zasobów, rozpoczęty został jeszcze w roku 1568, 25 czerwca, gdy pierwszy pał pod niego wbito. Król okupił dwoma wioskami, Przekorą i Dobrą Wolą prawo przewozu od Jeżowskich, spłacił dzierżawcę przewozów Erazma z Zakroczymia i jemu powierzył budowę stałego mostu, który miał się oprzeć i wylewom i lodom, łącząc stale dwa brzegi.

Kilkadziesiąt ogromnych baszt drewnianych, z prastarych, niezmiernej grubości belek wznoszonych, miało go bronić rozbijając kry i lody. Drzewo spuszczano z królewskich lasów z Korony i Litwy; nieustannie pracowali nad nim cieśle w wielkiej liczbie i budowa mająca 1150 kroków długości, już bliską była dokończenia. Starosta Wolski przejął gorąco myśl króla i dokończenie przyśpieszał, a Anna się nią zajmowała tak pilno, iż za każdą wycieczką do Warszawy jeździła na miejsce, kazała sobie pokazywać ile roboty postąpiły, zagrzewała do nich, naostatek ze swych bardzo szczupłych zapasów pieniądze dawała na opłatę robotnika. Wolski, który najlepiej wiedział, że królownie o pieniądze było trudno, bo z Tykocina nic jej nie dawano wziąć dotąd, oprócz pary srebrnych lichtarzy, nie rad przyjmował, zmuszała go przecież Anna, aby dokonanie mostu przyśpieszyć.

Wiadomem było, że tu się Litwa i Korona dla narad nad przyszłym wyborem króla zjechać miały.

Starosta warszawski rad też był temu, aby wiekopomne owe dzieło doprowadzić do skutku, a królowna jeszcze animuszu mu dodawała. Ze swemi basztami już teraz prawie gotowemi, most oparty na niezmiernej grubości palach, związany z takich belek, jakich dziś już nasze lasy nie mają, ukrzepiony mnogimi kłamrami żelaznemi, które go spajały, przedstawiał widok wspaniały.

Królowna dla pamięci brata była nim dumną, cieszyła się i patrząc nań płakała. Wolski pysznił się też, że jemu danem było ostatnią rękę przyłożyć do budowy jedynej wówczas w kraju.

Za każdą podróżą do Warszawy jechała Anna na brzeg w towarzystwie starosty, kazała sobie ukazywać wszystko i nagliła o wykończeniu.

Podróże te w porę zimową, na którą nie zważała królowna, a bardziej podobno pobyt w Piasecznie, gdzie nocami woda w pokojach zamarzała, wilgotno było i niewygodnie, poczynił już na zdrowie wpływać. Anna była cierpiąca na ból głowy, oczów i miewała gorączkę często, ale nie zważała na nią wcale.

Czas było nareście z Piaseczna mimo panów senatorów przenieść się do Warszawy, choć przewidzieć było łatwo jaką to wrzawę wywoła.

Panowie senatorowie jeszcze się byli po długich naradach nie rozjechali z Warszawy, gdy w piątek przed zapustami (23 stycznia) wcale się nie oznajmiwszy im, nie pytając o pozwolenie, królowna z całym dworem i taborem w biały dzień wprost zjechała na

zamek.

Można sobie wyobrazić, jakie to uczyniło wrażenie.

Był jeszcze w Warszawie prymas Uchański, biskupów siła, był Firlej marszałek koronny i inni senatorowie świeccy.

Zmiarkowali oni, że zamiast walkę rozpoczynać, która się dotąd nie wiodła, należało królownę przyjąć ze czcią jej należną. Pośpieszył więc Uchański, okazując wielkie poszanowanie dla krwi królewskiej, Firlej, biskupi i świeccy panowie na powitanie uroczyste.

Królowna wyszła bynajmniej nieustraszona, z pogodną twarzą i wszystko się odbyło jak najuroczyściej, najspokojniej, bez wymówek, bez żalów.

Witał prymas, przemawiał wojewoda krakowski, dziękowała sama Anna, odzywali się inni z wiernością swą i przywiązaniem dla rodu królewskiego. Nikt nie śmiał ani spytać Anny, jak się ważyła na krok tak samowolny, ani jej wyrzucał, iż lekceważyła radę.

Królowna w kilku słowach napomknęła o tem, jak pobyt w Piasecznie był niemożliwym.

Rozgospodarowano się więc na zamku na dobre, widocznie już nie myśląc ztąd dać się wyrugować.

Koniecki, który teraz sam jako ochmistrz na zamku rozkazywał, nabrał jeszcze większej powagi i pewności siebie.

Działo się to w piątek. Ponieważ Uchański i Firlej już na wyjeździe byli i pośpieszyli z powitaniem, nie mogli wszystkim oznajmić o tem i wielu się do nich przyłączyć nie mogło.

Litwini, którzy po odrzuceniu przez Annę ich ofiar do rozerwania unii dążących, najnieprzyjaźniejsi się dla niej okazywali, godzili na testament króla i na prawa Anny, nie pokazali się dnia tego. Nie przyszedł też przeciwnik Firleja Zborowski, może dlatego, iż z nim razem nie chciał się tu znajdować.

Dotąd stawał on także dosyć nieprzyjaźnie względem królownej.

W sobotę potem zdziwiła się ona wielce, gdy zrana Koniecki jej przyszedł oznajmić, iż pan wojewoda sandomirski o posłuchanie prosił. Nie zawahała się ani na chwilę z przyjęciem tego, który się głosił jej nieprzyjacielem.

Wielki a dumny pan, Zborowski różnił się od tych ówczesnych czynnych w Rzeczypospolitej magnatów jak Firlej, którzy z myślami i zamiarami swemi ukrywać się starali niezręcznie i sądzili, że świat oszukują.

Zborowski większy frant od nich, mówił głośno co myślał, udawał otwartego i namiętnego, krzyczał i unosił się, chociaż przy tem wszystkim doskonale pamiętał z czem się mógł wydać, a co miał utaić.

Z nim i sprawa, i rozmowa szła inaczej, nie politykował on jak Uchański, nie kłaniał się jak Firlej, rubasznie się tłumaczył, chciał, aby mniemano, że nic do ukrywania nie miał.

W istocie obok przebiegłości wielkiej, temperament gwałtowny nie dozwalał mu całkiem się powściągać. Puszczal więc wodze sobie, mówił wiele, obchodził się z ludźmi rzeźko.

Królowna Anna po wczorajszym powitaniu prymasa i wojewody nie wiedziała czego się ma spodziewać od Zborowskiego, który się nie taił z tem dawniej, że przeciw niej godził.

Wyszła naprzeciw niego z małym dworem, przywołać kazawszy biskupa chełmskiego.

Zdumienie było wielkie, gdy wojewoda zobaczywszy ją wychodzącą, bardzo grzecznie, uprzejmie i z poszanowaniem należnym zaczął witać nietylko imieniem swem, ale i innych panów, którzy przybyć tu nie mogli.

Co więcej, ofiarował jej pokorne służby swe, przypominając jako przodkowie jego wiele z łaski Jagiellonów dobrodziejstw otrzymali. Nie przepomniał i ubolewania nad tem, co królowna za życia i po śmierci brata ucierpiała, obiecując na przyszłość pomoc czynną i opiekę, i t. p.

Mowa Zborowskiego była tak niespodziewaną, a tak pocieszającą, iż na królownie uczyniła wrażenie jakiegoś cudu. Rozjaśniło się jej oblicze. Zbliżyła się dziękując wojewodzie z wyrazem takiego przejęcia i rozrzewnienia, że Zborowski poruszył się więcej jeszcze.

Wymieniono słów kilka uprzejmych i Anna uczuła się zniewoloną pana wojewodę prosić, aby z nią obiadować przyszedł. Zborowski przyjął wezwanie ochoczo.

Jaką myśl miała Anna, rozkazawszy Konieckiemu do stołu swojego zaprosić jawnie sobie też nieprzyjaznych Litwinów, Ostafiego Wołłowicza i Pawła Paca, trudno było księdzu biskupowi chełmskiemu zgadnąć. On i pan Zygmunt Wolski mieli się także u stołu znajdować.

Tak owa prześladowana, pędzana z miejsca na miejsce, córka królewska, która miała pod ścisłym dozorem siedzieć w Łęczycy lub Krasnymstawie — teraz, dzięki energii swej i silnej woli, przyjmowała na zamku królewskim nieprzyjaciół, którzy się jej kłaniali nisko i oświadczały z pomocą i służbami wiernymi.

W Zborowskim domyślać się można już naówczas powziętej myśli, użycia Anny w pomoc do elekcji Henryka. Mówiło mu coś, że cesarzowi nie była tak oddaną jak głoszą. Być może, iż oznakę jakąś uchwycił i nie omieszkał z tego korzystać.

Zeszli się wszyscy na obiad tak dobrej myśli, tak pokorni i ochotni, że przy stole rozmowa żartobliwy i wesoły obrót wzięła.

Zborowski miał to w naturze swojej, iż mówił niby otwarcie, co myślał, śmiało, chociaż nigdy nadto się nie zdradził.

Królewna znając to, iż ludzie przy kieliszkach radzi się otworzystszymi stają, nalewać kazała a Koniecki do picia zapraszał i naglił, czego pan wojewoda nie potrzebował zresztą, bo pił zwykle dużo i wcale go obecność królewnej nie hamowała.

Usta mu się czy pozornie czy rzeczywiście szeroko bardzo rozwiązały.

Przyszło do tego, że śmiejąc się wyznał przed Anną, iż pogłoski chodziły, jakoby ona zamiar miała struć kazała księdza Krasińskiego biskupa krakowskiego, Firleja i jego.

Mówił to w sposób żartobliwy niby, lecz powtarzał, co wieść roznosiła przez tych szerzona, którzy w Annie chcieli widzieć drugą Bonę.

— Wojewodo mój — odparła zimno a smutnie — na nicby się nie zdało do takich środków uciekać przeciwko wam, a Bóg mi świadek, iż nikomu, nawet nieprzyjaciółom źle nie życzę. Ludziom na rękę różnić nas, mnie czernić, aby w mętnej wodzie swą rybę łowić.

Gdybyście lepiej mnie znali, śmielibyście się z tych potwarzy, a ja niemi gardzę.

Zborowski podchwycił gorąco, iż onby się nie ważył powtarzać baśni złośliwych, gdyby do nich przywiązywał wagę.

Królewna tedy, choć ciężko jej mówić było, dodała.

— Wiercie mi, panie wojewodo, iż przed własnym interesem moim, kraju tego dobro w sercu przoduje. Nie pragnę dla siebie nic, tylko co dla Rzeczypospolitej z korzyścią jest i sławą. Nie upominam się, jeno o to, coście wy sami sobie winni i godności waszej.

Obwiniono mnie o jakieś spiski z cesarzem, o których nie myślałam nigdy, o chęć narzucenia wam pana, gdy ja nad sobą najcięższego ucisku doznawała.

Panowie litewscy, którzy przewidywali, iż się na rozerwanie Unii zwrócić może królewna, nie chcieli dopuścić tego i przerwali zapewnieniami przywiązania do panów swoich. Zborowski już dobrze napity, czy też napitego udający, aby się tem szczerzym wydawał, począł, z kielichem przyklękając przed królewną, przy czem go z dwu stron przytrzymywać musiano, poprzysięgać, iż na przyszłość w zgodzie z nią będą działali dla dobra wspólnego.

Dziękowała Anna, przyklaskiwali wszyscy. Zborowski kielich po kielichu wychylał, język mu się plątał, ale serca okazywał coraz więcej i tak obiad się skończył przy powszechnem rozrzewnieniu.

Biskup chełmski, starowina, płakał także. Litwa więcej milcząca, wtórowała tym wyrzuceniom miłości i przywiązania dla królewnej.

Na klęczkach tedy ucaławszy podaną sobie rękę królewnej, gdy ta z pokojów wyszła, bo czas było myśleć, jak Zborowskiemu odwrót zapewnić, Koniecki z Ryłskim musieli pod ręce go wziąć, aby ze wschodów prowadzić, gdyż chodzić już nie mógł.

A że konia też dosiąść nie było o czem myśleć, kolebki zaś nie miał pogotowiu wojewoda, musiano go z zamku końmi królewnej odesłać.

Wróciwszy do swojej sypialni, Anna we lży się rozlała.

Wszystko wprawdzie obracało się na dobre — na pozór wychodziła zwyczajko, ale to były dopiero początki, a przyszłość stawiała się przed jej oczyma z całą swą grozą niepew-

ności.

Wspomnienie trucizny, potwarze te, które ją czyniły w oczach narodu poczwara jakąś, gotową nieprzyjaciół pozbywać się wszelkimi środkami, zabołały mocno.

Musiała wejść w siebie, azali jej postępowanie nie usprawiedliwiała tych domysłów i przypuszczeń. Stała twardo przy prawach swych, ale one razem były prawami siostr jej i krwi tej, które ona jedna tu reprezentowała.

Nie mogła się dać zgnieść i usunąć a zasłonić — nie dla siebie, ale dla krwi, jaka w jej żyłach płynęła.

W chwili tej wszelkie marzenia, jakie karmiła potajemnie w głębi duszy, rozwiały się i rozpierzchły. Nie szło jej już o siebie i szczęście własne, ale o pamięć przodków, o ich sławę i cześć.

Każde słowo i myśl Zborowskiego rozpamiętywała i rozbierała, badając, co się w nich kryło.

Upojenie owo i mniemane wylanie się pana wojewody wcale jej nie uwodziło, czuła, że człowiek ten, choć się na nogach nie trzymał, na wodzy miał myśli swoje. Co znaczył ten nagły zwrot jego, czułość, wylanie się, obietnice...

Wiedziała, że Firlej potajemnie sprzyjał i prowadził cesarzewicza. Commendoni zaręczał, że Zborowski zgodnie z nim miał także prowadzić Ernesta.

Na te lzy weszła Zagłobianka i przyklękła przed panią swoją. Wiedziała już ona przez Ryłskiego, co się przy obiedzie działo, ale więcej też od innych.

Zrana Talwosz przyszedł oznajmić jej, że z najbliższymi powiernikami Zborowskich zawarł ściśle stosunki i wiedział na pewno, że wojewoda pozornie cesarzewicza zalecając, pilno się starał o pomożenie Francuzom, że sam słał do Francji, Montlucowi pieniędzmi pomagał i — nawet wrażeń rzezi św. Bartłomieja zatrzeć się starał.

Z tą wiadomością przybywszy Dosia, szepnęła ją Annie, aby postępowanie Zborowskiego wytlómaczyć.

Nie godziło się jej okazywać, że potajemne życzenia pani swej odgadywała — mówiła więc o tem obojętnie, jako o wiadomości tylko, którą Talwosz jej przyniósł i za pewność zaręczał.

Anna słuchała ciekawie. W istocie tlómaczyło to postępowanie Zborowskiego, niezrozumiałe z początku.

Gdy prymas Uchański i Firlej w piątek pośpieszyli uprzejmie witać królową, nie mógł Zborowski dać się im zatrzeć i pozostać obojętnym na stronie.

Pośpieszył więc w sobotę do Anny. Zważył, że w królowie była jakaś siła i prawo, którego lekceważyć nie należało.

Ztąd jego wylanie się, oświadczenia i zaręczenia opieki na przyszłość.

O wyjeździe z Warszawy już potem mowy nie było. Nikt nawet nie śmiał zagać o tem.

Koniecki i przybyły świeżo, wylany dla Jagiellonek pocziwy sługa ich Ryłski, z resztą dworu poczeli się rozmieszczać na zamku, tak aby za długo doznawane niewygody pobyt terażniejszy wynagrodził. W pomoc im przychodził Wolski, a i pomniejszych, chętnych sług nie brakło.

Królowa rozpoczęła tu toż samo życie, jakie dotąd prowadziła.

Dnie całe schodziły na pisanie listów, szczególnie do Zofii Brunświckiej, którą w pomoc sobie sprowadzić chciała koniecznie.

Siostry się dosyć kochały, szczególnie Anna wylaną była dla Zofii i Katarzyny, one zaś odpłacając jej wzajemnością, więcej jednak myślały o sobie, o spadku, o wspólnych interesach, niż o sprawie biednej, osieroconej i osamotnionej siostry.

Polepszyło się jej położenie na pozór, wszyscy, nie wyjmując najnieprzyjaźniejszej Litwy, czuli, że miała pewne prawo i reprezentowała siłę, którą się posłużyć mogli; kłaniała się więc, ale szczerze, serdecznie mało kto myślał pomagać.

Litwa dla siebie, cesarscy zwolennicy sobie, Montluc dla Francji chcieli się nią posłużyć.

Stała na świeczniku, a nie miała biedna czem świecić! Pieniądzy ciągle brakło, dwór należało pomnożyć. Urzędników przybywało, fraucymer musiał się dla okazałości zwiększyć, gości trzeba było przyjmować, nie mając sreber stołowych opieczętowanych w Tykocinie. Podskarbi nie dawał pieniędzy, bo skarb był wyczerpany, pożyczyć było trudno.

Królowna po cichu gryzła się i martwiła, pisała do Zofii prosząc o zasiłki nadaremnie, użalała się przed bliższymi napróżno. Przywiązani do niej biegali, starali się i najczęściej wracali z jakąś nieznaczącą kropelką, która wsiąkała w najniezbędniejsze życia powszedniego potrzeby.

Tyle trosk i niepewność przyszłości, doznane niewygody, pomieszczenie w Piasecznie, oddziaływały też na zdrowie tak, że Anna chorzeć zaczęła. Gdyby nie krajczyna, nie miałyby nawet około siebie litościwego serca, prócz Dosi, bo Żalińska w chorobie stawała się zgryźliwszą jeszcze.

To co zdobyła sobie siłą charakteru Anna, było jeszcze małym w stosunku do tego co zostawało do zdobycia.

Zbliżał się ów sejm elekcyjny, który o losach kraju miał rozstrzygać; umysły się przygotowywały do niego. Annie nie wzbraniano wprawdzie pobytu w Warszawie, przekonawszy się, że ona sobie nie da rozkazywać, ale panowie trwali w nadzorze pilnym nad nią, wymagali, aby bez ich wiedzy nie przyjmowała nikogo, nie czyniła nic.

Wprawdzie umocowany przez nich dobry i łagodny biskup chełmski nie stawał tak dalece na zawadzie, i łatwo go było wyminąć, ale musiała się królowna mieć na baczności.

Każdy krok, każde słowo trzeba było obrachować, wyważyć, a nawet z przyjacielem domu, z tym wylanym i zaklinającym się, że gotów był na wszelkie ofiary Czarnkowskim, królowna dyssymulować wiele, przemilczać i taić musiała.

W miejscu referendarza zjawił się teraz jako doradca na dworze, Solikowski, zdolny, ambitny, zręczny, umiejący się przypodobać, odgadujący usposobienia, człowiek, który wiele obiecywał i dla siebie też spodziewał się wiele.

Solikowski, który się od pierwszego widzenia podobał królownie z taktu, powagi, i z pewnej zgodności pojęć, widział w Annie ostatnią spadkobierczynię dynastyi i, zdaje się, że przeceniał nawet wpływ, jaki ona mogła mieć w przyszłości.

Ofiarował on usługi swe królownie, która, że potrzebowała kanclerza dla siebie, zrobiła mu wkrótce nadzieję, iż miejsce to będzie mógł zająć.

W istocie szukała ona kogoś, coby jej zastąpił referendarza, którego daleko lepiej przeniknęła, niż on się domyślał. Poznała, że był ciałem i duszą oddany cesarzowi, a miała wstręt od wszelkiego związku z domem rakuzkim.

Solikowski w pierwszych zaraz chwilach zdradził się z tem, że sprzyjał wyborowi Henryka.

Anna nie wydając się ze skłonnością i marzeniem o nim, dlatego jednego dała pierwszeństwo Solikowskiemu, który się stał domownikiem i doradcą pożądanym.

Młody jeszcze, żywego temperamentu, pragnący wywyższenia, Solikowski nie mógł nawet się stawić w jednym szeregu z ks. biskupem chełmskim, dobrodusznym, łagodnym, ale krótko widzącym.

W miarę, jak na zamku więcej się spoufalal i częstszym stawał Solikowski, Czarnkowski mniej się tu okazywał.

Miał nadzwyczaj wiele do czynienia, razem z innymi gotując ową elekcyę cesarską, od której większość szlachty wstręt miała. Popierali ją magnaci, złudzeni obietnicami, kupieni lub wzięci na pochlebstwa; ogół się obawiał już ukrócenia swobód.

Kandydatury pomnażały się, nie licząc główniejszych i oddalonych a niemożliwych, jak szwedzkiego króla i cara moskiewskiego. Kiełkowała myśl wybrania jakiegoś Piasta, a nim niby miał być wielkiego rodu, bogaty, spokrewniony świetnie Rosenberg, Czech nie Polak. Obok niego stawały mało znane postacie różne, aż do śmiesznego Słupskiego Bandury, którego przezwisko samo pobudzało do szyderstwa.

Jedni mówili za Piastem, a tych było bardzo niewiele, drudzy oburzali się na myśl, aby wczoraj równemu sobie kłaniać się i posłuszeństwo poprzysięgać mieli.

Na prowincjach rozlegały się najrozmaitsze echa stolic i grodów.

W Wielkiej Polsce i wielu innych województwach chciano wybierać samą Annę, a mężowi jej potem dać koronę, którąby ona mu przyniosła. Myśl ta miała zwolenników wielu.

Cesarz głosił przez usta swych posłów, że syn jego Annę zaślubi, Montluc i Francuzi co do tego drażliwego punktu milczeli, ani przyrzekając, ani się opierając. Mówili dwuznacznie, dawali się domyślać, nie chcieli zobowiązywać.

Biskup Walencyi Pibrac i wszyscy Francuzi znający rozpustnego Henryka, kochającego się w piękności, strojącego jak lalka, wybierającego sobie i najładniejszych chłopców

na przyjaciół i najpiękniejsze panie na kochanki, wiedzieli dobrze, że ożenić go z niemłodą, poważną, smutną polską królową byłoby nadzwyczaj trudnem.

Zdawało się im, że Annie zapewniając stanowisko, dochody, poszanowanie, stawiając ją obok tronu, niekoniecznie Henryk żenić się potrzebował. Była to zawada, nieprzyjemna przeszkoda, lecz z czasem dająca się usunąć i uprzątnąć.

Po miastach nigdy może jak tej zimy nie zjeżdżano się tłumnie, i nie naradzano wrzawliwiej. Szlachta polska naówczas nie grzeszyła zbytnią znajomością stosunków europejskich, a nawet krajów o granicę położonych.

Przyjaciele cesarza rozpowiadali dziwolągi o jego potędze i środkach, jakich mógł użyć dla zdobycia Korony, o Erneście (Rdeście, mówiła szlachta) chodziły też baśnie różne, a cóż dopiero o Henryku, o carze, o Janie Szwedzie i kilkoletnim synku jego, o wszystkich innych aż do Słupskiego Bandury!

Cesarscy, choć nieobficie po troszę pieniędzmi rozdawanemi cicho, zyskiwali sobie, Francuzi więcej obietnicami i zobowiązaniami na piśmie, w których stały złote góry.

Montluc dawał na papierze, co kto chciał.

Na całe województwo często potrzeba było jednego tylko wygadanego a żwawego szlachcica, aby za sobą tłum poprowadził i skuteczną szerzył propagandę. Mówca taki na zjeździe, na odpuszcie, czasu jarmarku często kawał kraju usposabiał do przyszłego głosowania.

Tam gdzie się dwa wpływy ścierały, rzadko cesarz zwyciężał liczbą. Miewał za sobą magnatów, mniejsi się go lękali i nie dowierzali.

Duchowieństwo wahało się między Henrykiem a Ernestem. Różnowiercy szli za Zborowskim, pomimo rzezi św. Bartłomieja, choć gorętsi się go wyrzekali i ani słuchać nie chcieli o nim.

Taki rozerwany był stan umysłów w przededniu zwołania sejmku elekcyjnego, którego następstwa nikt przewidzieć nie mógł. Pobożni rachowali na Opatrzność i Ducha św. a w istocie tam, gdzie tłumy głosować miały pod wpływem namiętności i rozdrażnień chwilowych, żaden rozum w świecie odgadnąćby nie umiał, kto się utrzyma.

Jeden wykrzyk nierozumny, gwałtowny mógł wszystko zachwiać, albo niespodziane wywołać skutki.

Nie dziw też, że ludzie poważniejsi, których los kraju obchodził, chodzili zaszępieni, z trwogą wyglądając godziny ostatniej.

W chwili zwołania sejmku, gdy się już Mazury ściągać poczęli do Warszawy, a za niemi i z dalszych ziem i województw zjeżdżała szlachta i senatorowie, nasz Talwosz oddawna był na stanowisku.

Nie mieszkał on na zamku, aby się nie narażać tym co go ztąd wywołali, a bardziej dlatego, ażeby królownie nie przysparzać troski; ale nie było dnia, żeby się tu nie znajdował, nie widział z Dosią i nie dostał języka.

Anna wiedziała o nim, może go czasem potajemnie przypuszczała do siebie, ale nie wspominała i obchodziła się bez usługi.

Jako sekretarz zastępował go inny, jako kanclerz tymczasowy był ks. Solikowski.

Niemniej Litwin był niesłuchanie czynnym, a że Dosia i on przekonani byli, iż Anna sobie życzyła wyboru Henryka, chociaż się z tem odzywać nie mogła, Talwosz biegał jednajac mu zwolenników.

Ponieważ pierwsi stawili się na placu Mazurowie, Talwosz poznawał się z niemi i puścił pomiędzy nich hasło, że trzeba było głosować za Francuzem, cicho dodając, iż to było życzenie, rozkaz raczej królownej.

Podawano to sobie z ust do ust jako tajemnicę, ale wszyscy bardzo rychło się nią podzielili.

Mazury widywali częściej Annę, polubili ją, żalowali, chcieli pomódz i pójść za jej myślą.

Gdziekolwiek się ich gromadka zebrała, Talwosz znalazł się pewnie między niemi i nie było rozmowy, któraby się nie skończyła na tem, że wedle woli Anny, na Francuza głosować potrzeba.

Nie był też bez wpływu ten wikary od P. Maryi ks. Stępek, któregośmy już widzieli, gdy o zastaw sreber chodziło. Talwosz z łatwością go pozyskał dla osieroconej pani, której pobożność, dobroczynność, prostotę obyczajów i zacność Stępek znał oddawna.

Widział ją cierpiącą i upokorzoną za życia króla i tego starczyło, aby dla niej współczucie gorące wyrobić w wikarym.

A przytem Henryk, jak wiedziało duchowieństwo, był wiernym synem Kościoła.

Słowo ks. Stępka znaczyło wiele, bo mówiło do serc w imię Boga.

Mazurowie zaledwie się powoli tu ściągać zaczęli, już hasło było dane, a nowo przybywający przejmowali je z łatwością.

Obok Henryka szeptano imię Anny. Szły one razem.

Nadchodząca wiosna piękna, ciepła, dla szczęśliwych wesoła, na zamku zapowiadała się smutną. Królowna leżała prawie ciągle chora, zmuszona nie wstawać z łóżka dla febry, która przez dzień ją trzęsła, a niczem się pokonać nie dawała. Miała tyle siły, że wolna od paroksyzmów wstawała, wychodziła, przyjmowała, zajmowała się sprawami bieżącymi, lecz z każdym dniem wyczerpywał się zapas życia, a choroba przeciągała się uparcie.

Ani lekarze, ani sławione leki starych bab, ani modlitwy nie pomagały. Do bliźkiego już nawet kościoła, pobożna pani, która nawykła była wstawać na jutrznię i iść modlić się, nie mogła już chodzić i mszy słuchać.

Choroba niby nie groźna, z czasem jednak wycieńczyła straszliwie. Cera żółkła, oczy zapadłe świadczyły o cierpieniach.

Dosia, Zosia Łaska, krajczyna i inne panie mieniały się u łóżka królowej, służąc jej, obiecywano sobie polepszenie ciągle, ale ono nie przychodziło.

W dniach wolnych, gdy się zjawił Czarnkowski, gdy przyszedł ks. Solikowski, gdy oznajmiono szlachtę lub panów chcących się pokłonić swej pani, musiała osłabiona zwlec się z łóżka, odziać żalobnie (bo dotąd dwór i ona w kirze chodziła) i przyjmować przybywających i uśmiechać się, aby nie stękać przed nimi.

Oprócz tego trudu, miała królowna niezbyty a codzienny starania się o pieniądze, zaciągania pożyczek, ratowania tymczasowo wszelkimi środkami od sponiewierania i głodu.

W tem pomagał usłużny i pocziwy, a niezmordowany Ryński, który gotów był każdego dnia jechać na koniec świata, byle się to na co przydało, kłócić się, walczyć i zdobywać posiłki dla biednej swej pani.

On i starosta Wolski, ks. Solikowski, po troszę biskup chełmski dopomagali Annie całym sercem, ale trosk jej odjąć nie mogli.

Królowna, pomimo choroby i znużenia, spraw pilnych zaniedbywać nie chciała. Zrywała się z gorączką, z bólem głowy, aby potem osłabła, podtrzymywana przez Dosię powrócić do łóżka.

Pociechą jedyną dla niej było to, że wszyscy zdawali się nawracać ku niej i do niej gnać.

Talwosz świadczył o tem.

Stał on już teraz gospodą nie pod Białym koniem u Barwinka, bo tam tak było pełno dostojniejszych, że on się docisnąć nie mógł, ale na mieście u rzemieślnika, u którego izbę najmował. Na pozór nie miał żadnego zajęcia, był zupełnie swobodnym, ale od rana biegał, kręcił się, podsłuchiwał, naprawiał co gdzie zepsutem znalazł, a w godzinie wieczornej przeciskał się na zamek, gdzie miał swoich starych przyjaciół i prawie codzień widywał z Zagłobianką. Nie przychodził do niej z próżnemi rękami nigdy, coś miał zawsze do doniesienia lub ostrzeżenia. Na pozór próżniaczko jego życie całe schodziło na usługach sprawie królowej.

On pierwszy, powziąwszy wątpliwość o szczerości Czarnkowskiego, ostrzegł o tem Annę i zapobiegł, aby mu się nie zwierzała.

Talwosz umiał bardzo zęcznie odegrywać różne role, wystąpić jako możny szlachcic i półpanek, bo był w istocie nim, lub jako skromny szaraczek. Bywał u pana starosty Wolskiego, u niektórych senatorów, a gdzie się Mazurowie ubodzy skupili przy dzbanku na gawędę, gdy się czuł potrzebnym, znalazł się także.

Wieczorem przy kaganku lub łożówce, a często do późnej nocy siedział za stołem w swej izdebce i przepisywał pilno chodzące po rękach listy, odezwy, paszkwile, które

później rozdawał między ludźmi a oni je rozrywali, bo każdy się czegoś chciał nauczyć o Rdeście i o Francuzie, o Rosenbergu i Bandurze.

Czasem musiał przedsięwziąć wycieczki, bo poselstwa różne zbliżać się zaczęły i zjeżdżać. Niespracowanym był i niez mordowanym, chociaż piękna Dosia wychwalała go przed królowną, oddając mu sprawiedliwość należną, sama go wynagrodzić za te trudy wcale nie myślała.

Dopóki jej mówił o tem co zrobił, czego się dowiedział, słuchała go z zajęciem, uśmiechała mu się uprzejmie; jak tylko zaczął wzdychać i zagał o swej miłości dla niej, odwracała się zasępiąca i zamykała mu usta.

Potrzeba było i człowieka tak cierpliwego i miłości tak uporczywej, aby się tem nie zrazić, nie ostygnąć i nie wyrzec nadziei.

— Panna Dorota w końcu się przekona — mówił często, gdy go odprawiała z niczem — że na takie pocziwe przywiązanie jak moje rachować można i polegać na niem, ale panna nie ma ani litości, ani serca.

Dosia czasem odwracała się z uśmiechem dziwnym i odpowiadała mu gorzko.

— Serca ja może nie mam! Nie wiem... albo mi go Bóg nie dał, lub za młodu wyszło. Cóż począć na to? Głowa mi się nie zawraca.

— Ale kiedyś przyjdzie pora, że się serce odezwie — mówił Talwosz — tylko nie dla mnie może, ale dla jakiegoś Żalińskiego, albo jemu podobnego gołowąsa.

— Bądź waszmość spokojny — odpowiadała Dosia. — Nie dam się ja wziąć łatwo.

— A cóż będzie później... później...?

— Na starość? — przerwała Zagłobianka. — A cóż ma być? posiwieję i będę pani mojej służyła jako dziś.

— Ale królowna, Boże nam ją uchowaj, nie wieczna — mówił Talwosz.

— Albo to klasztorów niema dla takich, jak ja, co rodziny nie mają? Pan Bóg im ojcem, a klauzura domem i przytulkiem.

Tak się najczęściej kończyły niefortunne zaloty Talwosza, który wzdychał, ale kochać nie przestawał. Dosia coraz mu się wydawała piękniejszą, nawet w tej żalobie niewdzięcznej, która oprócz grubego kiru, okrywała dwór rodzajem płaszczów z płótna zgrzebnego szarego, obyczajem zdawna przyjętym.

Okrycia te płócienne, nieforemne, doprowadzały do rozpaczki kobiety dworu, więcej dbające o swe wdzięki; lecz musiały brać je codzien, bo i królowna się tak przyodziewała do gości szczególnie.

Litwin się zaklinał, że Zagłobiance nawet w tym worze, jak on go nazywał, było cudnie do twarzy.

Biedny rozmiłowany Talwosz, nieczułości dla siebie pięknego dziewczęcia szukając przyczyn, wpadał na tę myśl ciągle, iż kogoś innego kochać musiała. W razie, gdyby się o tem przekonał, możeby był zalotów zaprzestał, ale z równą zręcznością szpiegując Dosię, jak cesarskich pomocników, nie potrafił dotąd nawet pozoru znaleźć do posądzenia jej.

Zagłobianka spędzała dnie całe na usługach królowej, a jeśli nic do czynienia nie miała, chwytiała książki, których była chciwą tak, że ją z tego wyśmiewano.

Niewiele naówczas kobiet zwykły były zabawiać się czytaniem, a jeśli z nich która miała w niem upodobanie, zatapiała się w książkach pobożnych. Zagłobianka zaś czytała wszystko, co się jej do rąk dostało, nie czyniła wyboru i mądrzejszą też była od innych. Czy przez to szczęśliwszą? rzeczą jest bardzo wątpliwą.

Nauka jest jak napój, który obudza coraz większe pragnienie i rodzi niepokój nienasycony. Niema jej końca; więc kto raz wszedł do tego labiryntu, już po nim życie całe błądzić może, nie znajdując spoczynku.

Dla Dosi była ona jedyną rozrywką, a odrywała ją od świata i stawiała, jak naówczas, zupełnie osamotnioną, bo z bardzo małym wyjątkiem, na dworze nawet o tem co ją zajmowało, mówić z kim nie miała.

Duchowni, gdy który z nich przypadkiem słowo jakie z niej wyciągnął, dostrzegłszy w niej niepokój ducha, karcili tylko i zdrożną ciekawość umysłu naganiali.

Zamykała się więc w sobie.

Czy się jej serce nigdy nie odezwalo, a przywiązanie Talwosza nie czyniło w istocie na niej żadnego wrażenia, trudno było odgadnąć. Jeśli miała dla niego uczucie jakie, kryła się z nim jak najtroskliwiej, nie chcąc mu zawiązywać świata.

Czuła się sierotą, a miała nadto dumy, aby nic nie przynosząc oprócz serca, zgodzić się na ofiarę szczęścia i losu, których wedle swego przekonania, nie miała czem opłacić.

To pewna, że gdy czasem Talwosz w wycieczkach swych opóźnił się z powrotem, gdy wieczorem go nie było na zamku, gdy go długo nie widziała, tęskniła za nim żywiej, zarumieniona podawała mu rękę trochę drżącą, witała głosem poruszonym, uradowana widocznie.

Pierwszych dni kwietnia Warszawa już była przepelniona, każdy dom niemal miał gości. Tam, gdzie dla panów nie było izb wygodnych, cisnęła się liczna ich służba, a wozy i kolebki, które się pod szopami i w podwórcach pomieścić nie mogły, koczowały pod domostwami na ulicach. Sypiała na nich czeladź, bo i tej nie było gdzie się schronić.

Nigdzie próżnego nie znaleźć było kąta, a gwar i ruch dniem i nocą nie ustawał. Za liczną gawiedzią, dworami, panami ze wszech miast znaczniejszych w Koronie, z bliskiego Szlązka, z sąsiednich Niemiec pozwlekała się liczba niezmierna kupców, przekupniów, ludu różnego, na tłum rachującego, który nie znalazłszy miejsca w sklepach miejskich, na furach i pod szałasami w rynkach na prędce skleconemi frymarczył różną kupią.

Klasztorzy musiały też swym dobrodziejom otworzyć gościnne wrota. W niektórych mieścili się biskupi z dworami swemi, w innych senatorowie świeccy, którzy lepszych gospód znaleźć nie mogli.

Tacy jak Firlej, jak Zborowscy panowie, nietylko dwór, czeladź z sobą ciągnęli bardzo liczną, ale zbrojnych ludzi siłą, niektórzy nawet jak na wojnę, działka i moździerze prowadzili.

Obraz, jaki naówczas przedstawiały targowiska i ulice miasta, przedmieścia i okolice, był niezmiernie malowniczy i ożywiony.

Każdy orszak inaczej z cudzoziemska strojny był i zbrojny. Niektórzy z brunświcka, inni z włoska, po tatarsku, po staropolsku, po rusku byli poubierani i orężem różnym opatrzeni. Każde niemal województwo można było odróżnić, a cóż dopiero Litwę, Podole, Wołyń, Ruś czerwoną, Krakowskie i Sandomierskie, albo ziemie pruskie.

W mowie też było odmian wiele, bo Kaszuby, Mazury, śpiewająca Litwa, Małopole, każdy po swojemu kłął i śpiewał.

W gospodach nie mogli nastarczyć piwa, miodu i różnych napojów, które pod wystawami w ulicach wprost z beczek toczono tłoczonym się gościom. Tak samo jadło w kotłach po podwórkach gotowano i tuż na stołach, ławami obstawionych, na prostych misach przynoszono łaknącym. Łyżkę za pasem naówczas nosił każdy i na nożu nikomu nie zbywało. Gdzieniegdzie płachty na drągach porozwieszane zastępowały namioty, bo kwietniowa aura niepewna, nieraz dokuczała szronem, deszczem i krupami.

Wieczorem po szynkach grały gdzieniegdzie popijającym muzyki niewytworne, kobzarze, skrzypki, gęśle, serby, którym śpiewami wtórowano.

Lecz w mieście stali tylko wielcy panowie i ich dwory, dokoła pola elekcyjnego mieściła się pod namiotami najrozmaitszemi, szałasami i budkami szlachta ziem różnych, które się każda z osobna kupy trzymały.

Olbrzymich rozmiarów namiot, tak zwany królewski, który stał po środku, a przeznaczonym był dla senatorów na główne i uroczyste narady, mógł w sobie pięć do sześciu tysięcy głów pomieścić. Dokoła niego stały cztery mniejsze, jakby baszty, połączone z sobą drewnianą zagrodą i opasane rowem głębokim.

Dalej województwo każde miało dla narad namiot osobny, przy którym chorągiew jego powiewała. Dalej jeszcze niezliczona moc małych różnej barwy namiotów zalegała szeroką równinę.

Było się tam napatrzyć wszystkiego, począwszy od najkosztowniejszych namiotów wschodnich aż do bitych zwojłoków, zszywanych z płótna i sukna, łatanych ze zgrzebna i przystrajanych kobiercami.

Czeladzie sobie kuchnie w ziemi wykopawszy doły na ogniska, przyrządzały, inni klecili z opilków i tarcic, z dranic i kłoców budy i szopy.

Byli i tacy co się na wcale schłodne domostwa wysadzali, w których nawet okien z błonami nie brakło, ale takich tu znajdowało się niewiele.

Jak się konie biedne mieściły, smutno pomyśleć, żal było patrzeć, bo ani żłobów, ani pokrycia nad sobą nie miała część ich większa, tyle tylko, że je derami osłaniano i stawiano tak, aby wiatr nie dokuczał im bardzo.

Pomimo wszystkich tych niewygód, a przewidywania, że i sejm i elekcya musiały się długo przeciągnąć, ludzi tylu razem w kupie, czując się między swemi gromadą, wesoło i ochotczo się zabawiali. Piosnka i śmiech rozlegały się po obozie, chyba tylko kłótnią i brzękiem a szczęką szabel przerywane. Ścinano się nie jeden raz i krew pocięła często, ale gdy się rana założyła pajęczyną, chlebem i hubą, a zawiązała szmatką, ochota i zgoda powracały.

Wpółśród tej różnobarwnej szlachty, liczbą i ubożuchną, prostą powierzchownością swą, strojem niewykwintnym, szabelkami niepoczesnymi, które u wielu kije zastępowały, odznaczała się szlachta mazowiecka. Było jej tu za to, na własnych śmieciach daleko więcej niż z innych województw.

Mogły się z nich śmiać drugie ziemie, którym butniej stały kołnierze, ale Mazury przez to nie traciły poczucia swej siły i gospodarzyły tu jak w domu, a mieli to do siebie, że się jak jeden trzymali kupy. Najuboższego zaczepiwszy, zaraz ich cały rój się zlatywał, aby się ująć za niego, a dziesięć kijów starczyło za kilka szabl. Wywijali niemi młyńce dzielnie i tłukli bez miłosierdzia.

Mazowsze, można powiedzieć, było już wówczas gniazdem szlachty, która rozrodziwszy się po wszystkich ziemiach aż do kresów, słała kolonistów i mało gdzie powinowatych nie miała. Szaraczki te za pan brat potem z karmazynami spokrewnionemi chodziły, niewiele do serca biorąc ich szkarłaty a swoje ubóstwo.

Zaczepić też Mazura nie było bezpiecznie, choć się małym wydawał.

W mazowieckim obozie, z wyjątkiem kilku namiotów okazańszych, nie było zbytku — konie i ludzie nie bili w oczy. Znaczniejsza część koczowała przy wozach i na nich spędzała noce lub pod niemi. Czasu posiłku zbierali się do większych kociołków, do beczek i przekarmiali kosztem zamożniejszych. Każdy z nich czuł, że gdyby więcej miał, tak samoby brata przyjmował i do misy swej zapraszał, jak się teraz do niej garnął.

Z czapką na bakier, przeżegnawszy się, zasiadano do jaglanej kaszy i klusek. Wielkim festynem było, gdy się gdzie na drążku baran przed ogniem obracał, którego potem do białych kostek ogryzano. Piwa nastarczyć nie mogły browary warszawskie, więc go i ze Szlązka, i z innych miast siła przywożono.

Tu, pomiędzy Mazurami, znajomy nam Talwosz był jak u siebie. Wiedziano, że królownie służył, że myśli jej znał, i słuchano go tak, jakby ona sama przez usta jego słała rozkazy.

Zawczasu tu Henryk Francuz, którego tytuł Andegaweński srodze przekręcano, był jednomyślnem hasłem, ale do czasu każdy go za pazuchą trzymał.

Obozowisko to gromne, po obu brzegach Wisły, łączył most nowy, wspaniały, na którym królowna pięćdziesiąt straży zbrojnej postawić musiała dla utrzymania porządku, gdyż dzień i noc przecisnąć się było trudno wśród wozów, konnych i pieszych.

W tym tłumie, którego tło stanowiła gawiedź pospolita, zawsze najliczniejsza, od czasu do czasu zjawiały się poczty jakby na okaz, które sobie palcami okazywano. Wyjeżdżała bogatsza młodzież postrojona i uzbrojona jakby do popisu, na koniach najpiękniejszych, w rzędach najbogatszych, z mieczami w pochwach wysadzanych, z tarczami malowanemi u siodła, łukami złożonemi, kołczanami szytymi bogato.

I było na co patrzeć, gdy taki panek ciągnął z czeladzią z cudzoziemska przystrojoną w jednej barwie, który często i psy pstre, osobliwe z sobą prowadził i sokoły nieść kazał.

Każdy się rad był pochwalić z tem co miał najlepszego, a innym patrzeć było miło na swoich, że tak występowali, nie dając się cudzoziemcom w Kamysz zapędzić. Thumy zbiegały się też przyglądać, gdy posłowie różni w początku sejmu ściągać się zaczęli.

Cesarscy posłowie prześcigali innych wspaniałością orszaku i liczbą dworu. Oprócz Rosenberga i Pernsteina, a stu dwudziestu szlachty za niemi, mieli z sobą posła Filipa drugiego i deputowanych miast Imperium, ale im wspanialej wyglądało poselstwo, tem większą obudzało trwogę.

Szlachta się lękała Rakuszan. Francuzcy posłowie odznaczyli się mniejszym orszakiem, ale wielką wykwintnością strojów i szlachetnością postaci, na których widać było

wiekową cywilizację, która ludzi wydelikaciła i po troszę zniewieściła, zarazem czyniąc piękniejszymi i miłszymi nad innych.

Montluc, Poix de Sechelles, dwaj opaci towarzyszący biskupowi Walencyi, kawalerowie do poselstwa należący, wyglądali jak postrojone laleczki, na które patrzeć brała ochota. A nie było ludzi, coby się ładniej, niżej, uprzejmiej kłaniali i uśmiechali słodziej i kochali wszystkich łatwiej i serdeczniej. Czarowali oni każdego co się zbliżył do nich.

Inne poselstwa przy tych dwu daleko mniej na siebie zwracały oczy i równać się z nimi nie mogły.

Było wszakże na co patrzeć, gdy przybył kardynał Commendoni w towarzystwie towarzyszącego mu uroczyscie duchowieństwa, posłowie szwedzcy, wysłańcy pruscy i t. p.

Pomimo ogólnie wesołego usposobienia, na twarzach senatorów, od których zdawały się zależeć losy Rzeczypospolitej, widać było zadumę i niepokój o przyszłość.

Jedno słowo wymowne Jana Zamojskiego, młodego naówczas wychowanka włoskich humanistów, rozstrzygnęło o sposobie wybierania królów. Nie powierzono elekcyi wyborowi najdoświadczeńszych i najwykształceńszych panów, ale zdano na okrzyk tłumów, z tą wiarą niezmierną w natchnienie Boże, w Ducha świętego, która pobożność głęboką znamionowała.

Tłumy te prowadzić, kierować niemi, mógł sobie pochlebiać tylko ten chyba, który nigdy z niemi do czynienia nie miał.

Na placu, w gwarze, wśród rozstroju, można było dopiero zważyć, że elekcyja zdana była na Opatrzność w istocie, bo nikt w świecie ani pokierować nią, ani pewnym być nie mógł jej wypadku.

Ci, co jak nasz przebiegły referendarz Czarnkowski chcieli zbadać przyszłość, wyrozumieć następstwa, odchodzili z placu zmuszeni powiedzieć sobie, iż w tym wrzasku nic dojrzeć nie było podobna.

Jedne Mazury tylko cicho siedziały, wiedząc zawczasu, co czynić mają i o drugich się nie troszcząc, gdy po innych województwach i ziemiach starszyzna jeszcze kazania prawila i nawracała.

Pilno bardzo Talwosz codziennie ogromne obozowisko po obu brzegach rzeki objeżdżał, zaglądając to do Mazurów, to do swojej Litwy, to po innych kątach.

Martwiło go to długo, iż starosta Chodkiewicz w początkach stawał przeciwko królownie, potem się na nią dąsał, że Unii zrywać nie chciała, ale umiejętnie chodząc około tej sprawy, potrafił to, że pani starościna żmudzka, z domu Zborowska, przybyła do Warszawy, że królowna Anna posłała ją przywitać, czem ujęła sobie Chodkiewiczową.

Musiła na zamek podziękować królownie, a tu się przyjazne zawiązały stosunki i żona męża za sobą pociągnęła.

Przyczynili się do tego może i Zborowscy, którzy za Henrykiem byli a Anny usposobienie dla niego przeczuwali.

Litwa teraz garnęła się do królownej.

Chora pani miała do czynienia dosyć, bo żadne poselstwo przybyć ani odjechać nie mogło, nie powitawszy jej i nie żegnając.

Występowała naówczas uboga sierota królewska w swej żalobie zgrzebnej z dwudziestu czterema pannami, z biskupem chełmskim, z ochmistrem, z Solikowskim, z paniami towarzyszkami uroczyscie, aby słuchać grzeczności i przez usta swoich odpowiadać na nie. Posłowie napróżno, wpatrując się w jej lica, badali wyraz twarzy, starali się odgadnąć uczucia i myśli. Anna miała nad sobą mocy tyle, iż się nigdy nie zdradziła. Z równą uprzejmością przyjmowała cesarskich posłów, Montluca i Francuzów, Szwedów, i ile się tam na zamek przyciągnęło.

Pomimo to, referendarz Czarnkowski, który często na zamku przebywał teraz, usiłując trochę ostygnąć królownę znowu sobie pozyskać, był niespokojny. Zdawało mu się, że Rosenbergowi nie dosyć okazywała uprzejmości, a Montlucowi zanadto.

Montluc oprócz tego pozyskał sobie panów wielu nadzwyczajną powolnością w zastawianiu się do ich żądań, w uprzedzaniu życzeń, gotów będąc jechać, zostać, oddalić się, czekać, gdzie i jakby mu wyznaczono, gdy cesarscy, dumą i potęgą pana swego przejęci stawili się butnie, a zniechęcali pokątnymi intrygami, które się co chwila zdradzały.

Trzy pierwsze tygodnie zeszyły na przygotowaniach, rozmowach z posłami, na usposobieniu umysłów, a wszystkim pono stronnictwom zdawało się, że sobie grunt przysposabiały, gdy w istocie pozostał on czem był — zamkniętym placem, na którym jakiś Leszek nowy miał trafem swych współzawodników prześcignąć.

Gromadząc się na zjazd szlachta rachowała, że juści do Świątek pana sobie obierze i spokojnie się po domach rozjechać będzie mogła. Tymczasem upływało trzy tygodnie, nie uczyniono tak jak nic. Obozującym przykrzyć się zaczynało. Firlej, na którego naciskano, aby do głosowania przystępować, zwlekał z dnia na dzień. Zdawało mu się, że dla cesarza, którego pożywał, dotąd za mało zrobiono. Odezwał się kto za nim, natychmiast go zakrzyczano, zawsze jednym, że swobody odbierze i w kajdany zakuje.

Firlej rachował już tylko na to, że gdy się na innych nie zgodzą, rozdwoją ci co Francuza jedni, drudzy Piasta prowadzić chcieli. Cesarz potem wygra na złość jednym i drugim.

Powszechnemu więc domaganiu się czyniąc zadość, Firlej w niedzielę przy trąbach po mieście i przedmieściach kazał obwołać, że nazajutrz głosowanie się ma poczynać.

Radość była niezmierna! Okrzyki, wystrzały, bębny, trąby, rozlegały się dokoła.

Na ostatek dobiegano do pożądanego końca.

Talwosz wpadł na zamek pierwszy z tą nowiną, która tu więcej pono trwogi niż radości obudziła. Królowna z krajczyną Łaską poszła się modlić.

Nazajutrz, trzeciego maja, obozy na polu inną postać, uroczystsą jakąś przybrały. Wszyscy czuli chwilę stanowczą, w której losy ojczyzny rozstrzygać się miały.

Talwosz, który od rana już biegał między Mazurami i Litwą, trafił pod namiotami ich na nabożeństwo.

Wszyscy jakby jedną myślą natchnieni, dzień ten rozpoczęć chcieli modlitwą.

Było w tem coś tak uroczystego, wielkiego, iż za wszelkie płochości tłumu tego płaciło, który padał na kolana, losy swe składając w ręce Boże.

Talwosz klął razem z Mazurami, pokrzepiony tą oznaką pocieszającą.

Księża czytali modlitwy, wzywające Ducha świętego, indziej śpiewano *Veni Creator Spiritus*. W chwili gdy każdy miał prawo podnieść głos, ulękli się wszyscy doniosłości jego.

Nigdy pole cichszem nie było, a ludzie spokojniejszymi.

Po ukończeniu modlitw długi czas żadne województwo poczynać nawet nie chciało.

Oglądały się jedne na drugie.

Czas upływał na takim rozsluchiwanu się i rozpatrywaniu.

Czarnkowski, który około marszałka się kręcił, dostał od niego języka, iż lepiej się było nie spieszyć z cesarzem, a na koniec go zostawić, gdy wszyscy inni odejdą z niczem.

Wysłani na wywiady od namiotu do namiotu ludzie, przysłuchiwali się napróżno. Szeptano wszędzie i naradzano się po cichu.

W królewskim namiocie też mowy tylko prawiono rozwlekłe, których konkluzji nie mogąc się doczekać szlachta, odchodziła znudzona.

— A co? — pytał Talwosz stojący przy Mazurach.

— Wodę warzą panowie! — odparł powracający szlachcic.

Wtem, a było to już pod wieczór, Mazurowie poszeptawszy między sobą, zebrali się do gromady i dosyć nieśmiało głosy poczęli wołać: Henryk! Henryk!

Na głos ten zewsząd się zbiegali ciekawi, ale nikt nie poszedł za nim, przebrzmiał bezskutecznie i szaraczki zawstydzeni, że się tak wyrwali nadaremnie, zamilkli.

W innych ziemiach i województwach dnia tego nie odezwano się z nikim jeszcze. Umysły były zaniepokojone i niepewne tego, co czynić.

Nie udało się Mazurom wprawdzie, ale wcale tego do serca nie wzięli. Owszem wesoło im było, że uprzedzili innych.

Jeden do drugiego mówił.

— Jutro hukniemy głośnie. Niech drudzy kogo chcą obwołują, my przy swoim zostaniemy. Królowna tak rozkazała.

Na zamku wiedziano zaraz o wypadku dnia tego. Królowna wyszła do Talwosza, który przybiegł zdyszany, rozgorączkowany, upadający na siłach, ale wesół; wysłuchała relacji, ale na bladej twarzy jej nic poznać nie było można, tak nad sobą panowała. Nie odezwiała się ani słowa, chociaż pani krajczyna i inne panie zaczęły zaraz rozpytywać, wykrzykiwać,

cieszyć się i niepokoić.

Widząc Litwina niezmiernie znużonym, ocierającym pot z czoła, i śpieszącym napowrót do obozu, bo i nocą musiał pracować na jutro, kazała mu podać kubek wina Dosi, podziękowała za wiadomość i zadumana, wolnym krokiem odeszła do sypialni, gdyż godzina paroksyzmu się zbliżała.

Ledwie Talwosz zniknął, zostawiając po sobie nadzwyczajnie poruszone umysły całego dworu, gdyż nie wszyscy byli wtajemniczeni w to, czego sobie życzyła Anna; gdy referendarz Czarnkowski zjawił się chmurny jak noc i znalazłszy krajczynę w izbie samą, natarczywie się dopraszać zaczął, aby z Anną mógł widzieć i mówić, dodając, że pilno mu tego było potrzeba,

— Ale królowna nasza bodaj już w łóżku i ta nieszczęsna febra lada chwila nadejdzie.

Czarnkowski począł dowodzić, że był sługą domu, i że królowna, bodaj leżąc przyjąć go mogła.

Pobiegła więc dać znać Annie Zosia Łaska — bo krajczyna nie odstępowała referendarza, chcąc z niego więcej coś dobyć niż z Talwosza.

Czarnkowski był widocznie zgryziony i zafrasowany, tak że nie zawsze odpowiadał do rzeczy.

Przyczyną troski było, iż kręcąc się dnia tego po elekcyjnym polu, tu i owdzie, między Mazurami też, języka gdzieś pochwycił, iż za rozkazem królowej na Francuza głosy dawać miano.

Inne też oznaki zaczynały mu teraz wyjaśniać, że Anna dla Ernesta, którego on prowadził, nie zbyt była życzliwą. Chciał wiedzieć, jak istotnie rzeczy stały. Miało to dla niego tem większą wagę, iż mogło mu dowieść, że on, który sobie pochlebiał, iż miał całe zaufanie królowej, w istocie je już utracił.

Chytry i przebiegły człeczek, postanowił przed dniem jutrzejszym wiedzieć jak stoi i wedle tego zastosować dalsze swe postępowanie.

Nie myślał dla królowej poświęcić Ernesta, bo cesarzowi był zaprzędanym, ale zmienić taktykę musiał i iść ostrożniej.

Zosia Łaska, która pobiegła do sypialni za królową, znalazła ją jeszcze nierozbraną, i gdy jej o Czarnkowskim znać dała, Anna, choć nie bardzo chętnie, zwróciła się ku posłuchalnej komnacie nazad, aby z referendarzem zobaczyć.

Zastała go roztargnionego, znużonego, narzekającego na ciężki trud i niepewność, ale razem sypiącego czułościami i zaręczeniami usług wiernych i t. p.

Anna podziękowała zimno.

Czarnkowski wtrącił zaraz o „ślepych”, jak ich zwał pogardliwie, Mazurach, że się pierwsi wyrwali; narzekał na wszystkich panów, iż sobie ze szlachtą rady dać nie umieli, dając zakrzyczeć i skończył na zwrocie ku Ernestowi, o którym mówiąc oczy miał ciągle w królownę wlepione.

Słuchała go cierpliwie, ale nic więcej; twarz najmniejszej nawet nie zdradzała ciekawości.

Krajczyna, Zosia Łaska i inne panie, nie chcąc poufałej rozmowie być na zawadzie, usunęły się do drugiej komnaty, tak, że królowna sam na sam z referendarzem pozostała.

Coraz żywszym głosem i w tonie napastliwszym Czarnkowski swój panegiryk wygłaszał, ale bez najmniejszego skutku.

Naostatek, gdy już tak dobre ćwierć godziny prawił, włożył rękę za żupan i szukać tam czegoś począł.

— Nie wiem, czy miłość wasza — dodał — widzieliście nawet, jak Rakuzki Ernest wygląda. Śliczny młodzieniec, znać w szlachetnych jego rysach krew, która w żyłach płynie. Tak pięknego księcia niema drugiego Europa.

Właśnie oto nadesłano mi wizerunek udatny z Wiednia, i gdybyś miłość wasza zewzoliła, mógłbym go tu jej zostawić.

Usłyszawszy to Anna, cofnęła się jak przestraszona.

— Panie referendarzu — zawołała żywo — bardzo proszę, ani mi go pokazujcie, ani myślcie, abym ciekawą była i mogła go zatrzymać. Nie przystało mi to i nie uczynię tego.

Czarnkowski, który już pugilaresu z zamkniętą w nim miniaturą dobywał, zatrzymał się i spojrzął. Anna miała surowo zaciśnięte usta.

— Ale cóżby w tem było zdroźnego — począł dalej — gdybyś miłość wasza chciała lepiej się mu przypatrzeć, ja w tem nie widzę nic.

— Nie chciałam innych wizerunków przyjmować i nie byłam ich ciekawą — odparła królowna — dlaczegożbym Ernesta miała czynić wyjątkiem?

Referendarz uparcie trzymał w ręku przyniesiony wizerunek i badał twarz królowej, która się wielką oblekła powagą. Zamilkł chwilę.

— Przecież — dodał — znasz mnie W. Kr. Mość, wiernym sługą jestem. Zostałoby to między nami, a zaprawdę nie wadziłoby lepiej poznać i przypatrzeć się Ernestowi, boć gdy go obiorą, on się przyrzeka żenić, gdy Francuz o tem milczy.

Zarumieniła się Anna.

— Nie pora o tem mówić — odrzekła cicho. — Proszę was, nie namawiajcie mnie do tego, czemu się bronić muszę.

A po chwili dorzuciła.

— Sądźcie więc, że Ernest ma widoki jakie? że się powiedzie cesarskim?

Z głosu referendarz nie mógł się domyśleć czy pytanie było natchnione trwogą, czy nadzieją, ale coś mu mówiło teraz, że jego Ernestowi tu nie sprzyjano bardzo. Dla lepszego więc wybadania królowej dorzucił.

— Sądzę na pewno, że cesarscy innych przeważą. Kupka Mazurów, która się dziś wyrwała, niepoparta, nie dokaże sama nic, a co było niepewnego, widząc że Francuz pada, do cesarza się obróci.

Czarnkowski mówił to bez przekonania, bo troskę miał wielką. Popatrzał na królowę, która rzekła zimno.

— Tak wnosicie?

— I zdaje mi się, że się nie omylę — dodał referendarz — dopiero, gdy się pole z ladajakich kandydatów oczyści, cesarscy górę wezmą. Szlachta znużona, cztery niemal niedziele stoi w polu a nic nie zrobiono. Rozstrój dziś w umysłach większy niż był; w końcu wezmą choćby Bandurę, aby raz do domu powrócić.

Posmutniała jakoś królowna.

Czarnkowski raz jeszcze żartobliwie napomknął o wizerunku, że wartoby go zachować, choćby dla nasycenia ciekawości fraucymeru, lecz królowna mówić mu nie dała. Kilka więc słów jeszcze dorzuciwszy na pożegnanie, pokłonił się Czarnkowski nierad z tego co wynosił od królowej i z niczym szedł do marszałka Firleja.

U niego i u Zborowskich mało nie przez całą tę noc przy kubkach radzono i słuchano, co przynosili na zwiady wysłani.

Nikt z panów nie był pewien, że swojego elekta przeprowadzi, troskę czytać było można z każdego czoła. Firlej zwłaszcza niecierpliwił się i niepokoił, twierdząc, że cesarscy nie umieli sobie poczynać, a nadto ufali w swą siłę.

U Zborowskiego znowu panowie dyssydenci, którzy się zgodzili na wybór Francuza, objawili wielki niepokój o to, aby się w Polsce rzeź św. Bartłomieja nie powtórzyła. Wojewoda poprzysięgał, że takimi artykułami zwiąże elekta, iż mu pęta nałoży i nie dopuści tknąć wolności sumienia.

Nazajutrz daleko spokojniej niż dnia pierwszego szlachta się do namiotów swoich pościagała, czuć było wydane rozkazy, rachuby, jakieś wyczekiwanie, politykę.

Mazury tylko, jak wczoraj wołali za Henrykiem, tak hałaśliwie, tłumnie, uparcie domagali się go znowu.

Płoczzanie i szlachta rawska przyłączyła się do pierwszych. Jednoznacznie tu głosowano za Francuzem.

Czarnkowski, który się wsunął ku namiotowi, dopytując, czego by się tak spieszenie przed innemi wyrwali, otrzymał na ucho odpowiedź, iż to było hasło z zamku im dane, któremu posłuszni być chcieli.

Jednego tylko biskupa płockiego potrafił referendarz skłonić, spodziewając się, że to może na Mazurów oddziała, ażeby w głos i otwarcie przemówił za Ernestem i za nim wotował.

Długiej mowie jego szlachta z początku cierpliwie się przysłuchiwała, potem niektórzy niewyspani głośno ziewać zaczęli i krzyże sobie na ustach pisać, wszczął się szmer i mało już kto zwracał na biskupa uwagę.

Poparł biskupa tylko podkomorzy warszawski Grzybowski, ale we dwu nie pociągnęli nikogo więcej za sobą.

Rawianie z biedy, jeżeli nie Henryka, woleli już Szweda.

Dzień ten spelzł na niczem.

Mało które województwo zgodziło się na jednego jak Mazury; panowie przemawiali każdy za innym kandydatem i do głosowania nie przychodziło. Zdawało się, że czas zamiast skupiać i jednać, coraz silniej rozdwajał i rozstrajał.

W niektórych województwach głosy się tak gwałtowne odzywały, że niemal boju się można było spodziewać. Szlachta się lżyła i do szabel rwała. Rdest, Szwed, Piast Bandura, Piast Rosenberg, Francuz mieli zwolenników tu i owdzie; kto ich miał największą liczbę, trudno było policzyć, a Czarnkowski z boleścią widział, iż cesarska sprawa stała we czwartek gorzej niż w poniedziałek, gdy Henrykowa zdawała się polepszać. Prostopoduszne Mazury stali przy swem, wołali Henryka kupą, głos się ich rozlegał i miał jakąś siłę pociągającą. Zaczynały i inne ziemie za Francuzem się ogłaszać.

Czas było kończyć!

Czarnkowski widząc co się święci, obrachował, że trzeba zamęt wzniecić; dał swoim znak, aby głosowano na Piasta. Sam zaś on ogłosił się za Szwedem.

We czwartek tedy na polu było, jak się wyrażali niektórzy, istne piekło. Ryk, krzyk, wrzask, przekleństwa, kupa przeciwko kupie. Niektórzy kije, inni szable, nie dobywając ich, z pochwami podnosili do góry, popychano się, naciskano. Przejeżdżających panów obstępowały tłumy. — A pókiż to tego będzie. — Złośliwi wołali, że siano niezgodę umyślnie, aby w mętnej wodzie łowić i bodaj siłą narzucić despotę. Wieści chodziły najdziwaczniejsze.

Wzięli się niektórzy mówić, iż cesarz orężnie i zbrojno chciał wtargnąć; że cesarscy chcą szlachtę rozpędzić i t. p. Wielkopolanie dla ładu, którego nie było, spisać kazali wszystkich kandydatów, bo ich się namnożyła moc wielka, pod imieniem Piastów. Zaczęto czytać głośno wszystkich po kolei, nad każdym złośliwie czyniąc komentarze, które jak z samopalów strzelały z kup otaczających. Gdy naostatku ktoś wykrzyknął jako kandydata Słupskiego Bandurę, buchnęły śmiechy i zaraźliwie poszły po całym polu, że ich przeszło godzinę utamować nie było można.

Pocziwy i zacny Wojciech Słupski pogrzebał wszystkich Piastów z sobą.

Nadszedł nareście piątek już, a króla jeszcze nie było. Znużenie i niecierpliwość mallowały się szczególnie na twarzach wodzów. Firlej burzył się z gniewu, Zborowski po troszę szydersko uśmiechał się, ale wcale nie tracił animuszu. Pilno było i jemu, ale stał tak, że z omyłek cesarskich korzystać i na nich budować musiał.

W piątek wszyscy niemal panowie senatorowie zgromadzili się pod wielkim namiotem królewskim, który obstarpi wysłani od województw deputaci.

Przewidywano dnia tego stanowczą walkę, jako też mowy się rozpoczęły zawczasu.

Jakim sposobem pocziwie Mazury Henrykowe i ich sprzymierzeńcy w przemagającej liczbie, bo ich rachowano do trzech tysięcy, oblegli nieznacznie dokoła namiot wielki, to tyłkoby może niewidoczni tacy sprawcy jak Talwosz wytłómaczyć umieli. Drobną szlachtą zawczasu dobrze nakarmiona, ze wszech stron spływała jakby przypadkiem i ustawiała się jak od niechcenia, ale w końcu żelaznym obręczem objęła panów senatorów i stała sobie spokojnie.

Ale działały się rzeczy osobliwe. Gdy który z panów senatorów przemawiał za Francuzem, cisza była taka, jak mak siał; począł inny o Ernestie, o Szwedzie, wszczynął się szmer, ze szmeru wrzawa, hałas, gwar, iż słowa nikt usłyszeć nie mógł.

Przychodziło to niby trafem i przypadkiem, lecz zwalczyć nie było podobna losu.

Wtem podniósł się do głosu starosta Chodkiewicz, którego cesarz, jak wiemy, zdawna pewien był, i z nim też całej Litwy, bo on głową jej się stał. Nie wątpili Firlej, Czarnkowski i cesarscy, że za Ernestem da głos, gdy — o cudo — oświadczył się pan starosta za Henrykiem, dodając.

— Henryk się ożeni z królową Anną, a tak i krwi naszej stanie się zadość.

Jeszcze nie skończył Chodkiewicz, gdy Podole wołać zaczęło.

— Henryk z Anną! Henryk z Anną!

Pierwszy raz tak jawnie wystąpiło życzenie narodu, aby ostatnia szczepu gałązka marnie nie uschła. Przemówiło to do serc.

Wprawdzie Ernest także mógł i obiecywał się żenić z Anną, ale ten Niemcem był, a bądź co bądź, w każdym Niemcu starego widziano nieprzyjaciela.

Głos Chodkiewicza uderzył jak grom na cesarskich i szalę przeważył.

Gdy raz prąd się wziął za Francuzem głosować, Podole i Braclawszczyzna zrobiła po Litwie początek, dalej poszły za niemi Łęczyckie, Lubelskie, Bełzkie, Pruskie województwa, znaczna część Krakowian, Sandomierzan, Sieradzian.

Wielkopolska głosowała za Anną samą.

Jawnem i oczywistem było, że Francuz weźmie górę.

Już była noc, gdy wszyscy znużeni rozpywać się poczęli; Czarnkowski głowę tracił, rękami w powietrzu młyńce kręcił zrozpaczony i wołał, że Francuzi Litwę przekupili, że ogromnemi jurgeltami przyobiecane panom zyskali ich sobie.

Na zamku dnia tego napróżno jego i Talwosza do późna oczekiwano; królowna się musiała do łóżka położyć, gdy Litwin nadbiegł z radością na twarzy i przywitał wychodzącą naprzeciw Do się ręką podniesioną do góry.

— Francuz tak jak wybrany!

Królowna w ciągu dnia odbierała już wiadomości o tem, co się pod wielkim namiotem działo, ale zupełna nikt sprawy nie zdał; dopiero Talwosz przyniósł lepszą wiadomość, a to samo, że Czarnkowski się dnia tego nie pokazywał, miało wielkie znaczenie.

W milczeniu przyjęła to królowna i teraz jeszcze nie objawiając radości, ale otaczający ją zmiarkować mogli z rozbudzenia żywszego, iż rada być musiała.

Talwosz przy drzwiach stał.

— Kiedyż się to skończy? — słabym głosem spytała Anna.

— Bogu wiadomo, bo opór jest silny — rzekł Litwin — więc gdy przeszkodzić nie mogą, przeciągnąć radzi, a nuż coś im z nieba spadnie. Ale wszystko to próżne, mądrzy oni, my też nie obrani z rozumu.

U Firleja całą noc niemal jedni drugim czynili wyrzuty, kto był winien, że się Ernestowi nie powiodło, dociec nie mogli. Jeden na drugiego zrzucał, ale skutek był ten, że Francuz wziął górę. Przy znużeniu wielkiem przewidzieć było łatwo, że ci, co się wahali przystaną dla dobicia się rychlejszego do końca.

Marszałek Firlej bąkał gniewny o użyciu siły, o rozpedzeniu tłumów, wyrwały mu się wyrazy nieopatrzne; ale on sam nie wierzył pewnie w to, ażeby przemocą można co dokazać.

Tymczasem słowo nieostrożne, raz wyrzeczone, w świat poleciało.

Szeptano sobie do ucha, że pójdą działa i moździerze na namiot i poczty zbrojne się gotują.

W sobotę przed Świątkami namiot znowu był oblężony, od rana mowy głoszone, jedne po drugich, ale ich tak jak nikt nie słuchał.

Prymas po cichu szeptał, wzdychając.

— *Vox populi, vox Dei.*

Już tylko pięć województw i kawałek Prus opierał się jednomyślności, reszta jednogłośnie się Henryka domagała.

Senatorowie oblężeni w namiocie pod wieczór zażądali, aby szlachta się rozeszła i osobno województwami głosowała; ale nic to nie pomogło. Zborowscy i wszyscy Henrykowi zaczęli na prymasa nacierać, aby króla ogłosił, gdyż jawnem było, za kim stała i kogo chciała większość narodu.

Cesarskim zostawała jedyna nadzieja w niedzieli, która narady przerwać miała uroczystością, bo w Zielone Świąta nikt o niczem, prócz nabożeństwa, myśleć nie mógł.

Wszystkie namioty już były w zieleń postrojone, w mieście kościoły woniały młoda brzezina, każdy dom zdobił się w drzewka i gałęzie.

Była to jakby przepowiednia szczęśliwego końca, błogich lat pokoju i pomyślności.

Z obu stron nalegano na prymasa, jedni, aby okrzyknął króla, drudzy, aby się wstrzymał dla nocy, bo pod namiotem ciemno już było.

Uchański niepewien co ma czynić, skłonił się do odłożenia ogłoszenia na po Świątkach.

Na drugi dzień, w poniedziałek, w ostatek miało się wszystko rozstrzygnąć. Jak?

Nie było prawie wątpliwości. Cesarscy chodzili pogrążeni w smutku, gniewni, zrozpaczeni. Nie było ratunku. Firlej — wołali niektórzy — powinien był niesforne rozpedzić tłumy!

Lecz łatwiej to powiedzieć, niż się ważyć na to...

Noc była wesoła! Święto każde u nas prowadzi za sobą zawieszenie wszelkich czynności a nawet troski wszelkiej na kolku. Pana Boga chwalić i dobrej myśli zażywać potrzeba.

Mało komu, szczególnie z bliższych Warszawy, żony z domu nie przysłały na Świętki kołaczów, placków, mięsiwa, kielbas, jaj i beczulek. Było się więc czem posilać i na co sąsiadów prosić. Odżywało ciało i duch się krzepił.

Kościół pełne były przez dzień cały. Modlił się każdy, a szlachta spotykając pocieszała tem, że króla tak jak miała.

— Bogu dzięki! Do domu człek pojedzie! żonę i dzieciska uściska. A! pora!

Z południa zjawiał się referendarz na zamku, ale królowa chora leżała i widzieć się z nim nie mogła. Wylał swe żale przed panią krajczyną.

— Uciśnioną była wolność, przemocą Zborowscy prowadzili Henryka. Lękali się cesarza różnowiercy, religia była zagrożona. Dyssydenci teraz mieli wziąć górę, kościoły zabierać, duchowieństwo obdzierać, ojczyznę zgubić.

Łaska starała się go tem uspokoić napróżno, iż Francuz przecież panem katolickim był i nie mógł dopuścić, aby wiara święta uciśniętą została.

Referendarz nie dawał się pocieszyć. Był to koniec świata! Wszystko zgubę zapowiadało.

Z tem wyszedł nieszczęśliwy.

Nazajutrz rano ściągali się wszyscy pewni tego, że już tylko ogłoszenia króla słuchać będą, gdy pod namiotem na nowo mowy się rozpoczęły. Wszystkie swe boleści wylewali cesarscy.

Gdy się to działo pod królewskim namiotem, Pan Bóg wie, kto puścił wieść.

— Wojewoda Firlej z działami, ze zbrojną siłą ciągnie na pole i wszystko chce w niwecz obrócić.

Co się w tej chwili stało nagle, opisać niepodobna. Jakby grom w ten tłum uderzył, ruszyło co żyło ze wrzawą, hasło dając do oręża! Ułękli się panowie senatorowie nie umiejąc sobie wytłumaczyć co się stało.

Tymczasem zawrzało okrutnie dokoła.

Henrykowi wszyscy rozbiegli się po oręż i niebawem uzbrojeni namiot otaczać poczęli.

Widok był osobliwy, jakby się na bitwę zanosilo: błysły broje na piersiach, podniosły się samopaly, hakownice, przyciągano moździerze, dobywano szable, dźwigano dzidy.

Nie upłynęła godzina, gdy kilka tysięcy koni uszykowało się na równinie, piechota przy nich, stając w obronie namiotu, którego nikt napadać nie myślał.

Od pocztu do pocztu biegali konni, roznosząc rozkazy, rozstawiając ludzi, wysuwając jednych naprzód, drugim cofać się każąc.

Wojewoda Firlej i zastęp jego przyjaciół nawet tym okazem siły nie dał się zwyciężyć. Rozprawiano, krzyczano, opierali się cesarscy.

Niektórzy rozpaczliwie wyrzekając, zjechali w końcu precz, inni pozostali protestując. Zgody nie było. Czarnkowski ochrypl, dowodząc przemocy.

Zbliżał się wieczór. Zborowscy poczęli na prymasa nalegać, aby znowu wahaniem się nie dawszy nocy nadejść, nie zwłókl niepotrzebnie tego, czemu już zapobiedz nie było podobna.

Zmierzchało, gdy prymas złamany w końcu, mimo oporu Firleja, mimo wołania Czarnkowskich, wstał i donośnym głosem Henryka, księża andegawęskie, królem polskim i Wielkim księżciem Litwy okrzyknął.

Gdy otaczający namiot usłyszeli to, w mgnieniu oka cała równina rozległa się jakby jednym wielkim głosem, który przebiegłszy ją wcisnął się do miasta, i brzmiał długo ponad stolicą Mazowsza.

Na polu radość była niezmierna, wielka, nie do opisanania; ale też rozpacz i gniewów Firleja i Czarnkowskich wyrazić niepodobna.

Referendarz stał jak zdrtwiał, słuchając okrzyku prymasa. Pięć zaciskał, usta się krzywiły.

— Nie koniec jeszcze — mruknął. — Co myślał i z czem późno potem z pola zszedł, ciągnąc do Warszawy, on tylko i kupka co mu towarzyszyła wiedziała.

Nim Talwosz mógł królownie przybiedz zwiastować szczęśliwą nowinę, na zamku już wiedziano o niej. Przyniósł ją naprzód ten okrzyk, który zamek otoczył i aż do komnat jego się wcisnął, potem mnodzy dworzanie, znajdujący się w mieście, poczęli wbiegać każdy sądząc iż pierwszym był.

Królowna odmawiała wieczorne pacierze, gdy krajczyna przypadła niosąc jej do kolan wieść o Henryku. Serce Anny już przeczuło ją wprzód; lecz nawet przed krajczyną swą nie mogła się z tem wydać jak ono biło i jaka je radość, nadzieja, marzenia przyszłości przepełniały.

— Bogu dzięki — odparła Anna po chwili — kraj odżyje w spokoju, a i ja odetchnę i zwłoki króla nareście dostaną się na to miejsce wiecznego spoczynku, na które dotąd czekają.

Imię Pańskie niech będzie błogosławione!

Doba ta w życiu Anny Jagiellonki, która nigdy szczęśliwą nie była, może się nazwać istną męczeństwa kroniką. Cierpieć ona musi za grzechy ojców, za słabość siostr swych, za rodzinę, za kraj i za siebie.

Obok niej stoją tylko pomocnicy serca dobrego a bezsilni i tacy jak Czarnkowski przepokupnie frymarczący sumieniem, którzy sobie nie jej radzą, o sobie nie o niej myślą.

Ona jedna pamiętną jest wielkiego dostojęstwa swojego, krwi, która w żyłach jej płynie; ona jedna, gdy idzie o zerwanie Unii, powiada, że woli zginąć, niż dzieło brata nadwerężyć, a gdy ją chcą ze spadku po zmarłym wyposażyć siostrom zatrzymując ich działy, woli cierpieć ubóstwo, niedostatek, niż je skrzywdzić dla siebie.

Całe jej postępowanie nacechowane jest najwyższą szlachetnością. Leje łzy, bo jest kobietą; ale znosi upokorzenie, ucisk, zawody, nie dając się złamać.

Kraj cały okazywał wstręt do domu rakuzkiego, który jej obiecywał oswobodzenie i zamężcie; odrzuciła je stosując się do życzeń ogółu. Myśl i serce jej przywiązało się naówczas do Henryka, jako do wybranego przez Opatrzność dla niej wybawiciela.

Jest to jedną, jedyną słabostką tej wielkiej duszy, że marzyła chwilę o szczęściu z Henrykiem, nie znając go, wyobrażając sobie dobrym, łagodnym, szczerym, takim jakim go ludzie jej starali się przedstawić.

Kochające to serce widziało w nim rodzinę, podporę, choćby błysk jakiś krótki szczęścia, którego ona nigdy nie doznała.

Nadzieja przebija się w tej chwili życia, jak słońce przez chmury, zdradza mimowolnie, ale Anna stara się ją utrzymać w sobie, zamknąć w głębi duszy.

Zaledwie mgnienie oka ma trwać to złudzenie i wkrótce w jednym z tych bolesciwych listów do siostry, które świadczą co wycierpiała, wyraża się z przejmującą goryczą.

„O szczęśliwe a błogosławione siostry moje, że tego nie doczekały, czegom ja nie-szczęśliwa dożyła”.

Moment, w którym ten wykrzyk miał się wyrwać z jej piersi, nie nadszedł jeszcze. Anna ludzi się Henrykiem jako przyszłym małżonkiem, obiecuje sobie odetchnąć, marzy.

Wszystko, co jej ludzie i pisma przynoszą o tym narzeczonym z Opatrzności, chwytta chciwie. Głosy są zgodne, pochwalne. Na wizerunku ten zepsuty i rozpieszczony syn przewrotnej matki wygląda tak łagodnym, tak miłym, jak był w istocie chytrym i zwodnikiem.

Między nim a nią są podobieństwa losów, pochodzenia. Bona Sforzia przypomina Katarzynę Medycejską.

Czasem Anna wyrzucać sobie musi te marzenia spóźnione licząc lata swoje i jego, zwątpienie i rozpacz ją ogarnia. Miałażby i ta ostatnia zawieść nadzieja?

Co naówczas? Gdzie się schroni? Jaką pochwycić nadzieję zbawienia? Z potrzeby kochania, myśl jej leci za morze do kolebki siostrzana Zygmunta.

Rada by go przybrać za syna, jemuby chciała tron zapewnić.

Jak? — nie wie.

Pomiędzy Henrykiem a tym Zysiem drogim ciągle kołysze się biedne serce starzejacej królowej, której Bóg odmówił rodziny, macierzyństwa, przywiązania i dał jej tak nędznie

usychać na łądydze.

Kobieta walczy w niej teraz z królowną.

Nadchodzi chwila stanowcza, Henryk wybrany. Warunek ożenienia został wciśnięty, mimo posłów oporu. Anna w niepewności wyczekuje, jak ten narzeczony znajdzie się względem niej? Odepchnie ją czy przyjmie? Pozna się na sercu czy odrąci smutną niewiastę.

Od dnia do dnia zwlekała Anna wyjazd za ciałem brata z Warszawy do Krakowa. Chciała mu towarzyszyć koniecznie, uważała za obowiązek stanąć przy tej trumnie, gdy więcej nikogo z rodziny nie było. Tymczasem słabość pół roku ją trzymała przykutą na zamku warszawskim.

Z dnia na dzień wyjazd się odkłada, aż do stycznia 1574.

Ten pochód żałobny, za którym Infantka jedzie z całym swym dworem, ma przesunąć się przez znaczną część kraju, musi więc być uroczystym, ostatnim królewskim pochodem.

Króla zmarłego pożegnać powinni raz ostatni wszyscy co go kochali. Jagiełłów ród z nim schodzi do grobu. Ona za trumną, to przypomnienie tego co kraj winien jest jej.

Na podróż trzeba pożyczać pieniędzy, królowej brak ich ciągle, panowie niechętnie dają, podskarbi nie zawsze może. Pożyczać trzeba na most, na podróż, na pogrzeb, na chleb powszedni.

Naostatek zwlekać już dłużej nie było podobna; Henryk oznajmywał, że przybywa, a pieszczony i przesądny nie chciał zaczynać panowania od pogrzebu, wysłał więc zastępców za siebie, aby uniknąć żałoby.

Królowna z ogromnym pocztem dworzan, którzy się zbiegali zewsząd, aby ostatnią oddać panu posługę, wyjeżdżała z Warszawy.

Z nią ciągnęli dworscy, komornicy, urzędnicy z ogromnymi pocztami, słudzy króla z chorągwią jego, drabanci.

Zwłoki wieziono na okrytym wozie żałobnym, za którym tłumy ubogiego ludu ciągnęły, obdarzane kosztem skarbu jałmużną i strawą.

Wszystkie naprzód stanowiska były wyznaczone; na każdym zamku i dworcu, w którym się zatrzymywano, czekała izba obita kirem. Przed nią zatrzymywał się wóz, nie zdejmowano ciała. Na trumnie kładziono koronę, berło, jabłko i miecz, zapalano świece i pochodnie, stawiono straż z dwu komorników, ośmiu drabantów, dwóch dworzan i dwóch jurgeltników złożoną i kapelani przez całą noc śpiewali psalmy.

Nazajutrz po mszy żałobnej w kościele, na którą szła Anna ze swym dworem, ruszano dalej ku Krakowu.

Droga szła na Radom i Miechów i zabrała dni jedenaście. Wszędzie na spotkanie ciała wychodziły procesje, bito w dzwony, dworzanie zsiadali z koni, nakładali kaptury, oznakę żałoby, brali świece i przeprowadzali przez każdą wieś i miasto zwłoki, idąc przy nich pieszo.

Toż samo często czyniła Anna z dworem swoim, jeżeli przykra roku pora dozwalała.

Z Warszawy co żyło, wszystko się przyłączyło do swej pani, która miała w Krakowie zajmując wyznaczone sobie mieszkanie starej królowej Bony i być przyjętą ze czcią należną.

W oczekiwaniu pogrzebu i koronacji, jedna część panów i szlachty już zapełniała starą stolicę, inni gotowali się na granicy państwa witać przybywającego monarchę.

Poprzedzony przez mnogich posłów, przez sługi swe, niezliczonych Francuzów, których nowy kraj pociągał ku sobie, jechał Henryk przez Niemcy, nie śmiejące mu wzbronić przejazdu. Z dobrą czy nie dobrą wolą przyjmowano go jak króla.

Tymczasem w Krakowie i wszędzie, gdzie się Francuzi pokazali, zbiegano się do nich, usiłując odgadnąć pana ze sług. Znajdowano ich zabawnymi, grzecznymi, ale razem tak czasem lekceważącymi krajowców, tak nie umiejącymi się do ich obyczajów zastosować, tak dumnymi, gdy co miłość własną podrażniło, iż u wielu szlachty rodziły się już niesmaki.

Najwzględniejsi nawet z Francuzów zdawali się dawać do zrozumienia Polakom, że sobie powinni byli winszować, a Henrykowi wdzięczni być, iż raczył przyjąć koronę.

Otwarta, szczerza, wesola rubaszność polska odbijała jaskrawo obok galanterii chytrej, ironicznej, pogardliwej Francuzów, którzy się kłaniali sztydząc i zdawali drwić ze wszystkiego.

Ani jadłem, ani napojem dogodzić im nie było podobna, prychali na wszystko, dziwili się rzeczom najprostszym, a szwargotu ich, ani nawet łaciny nikt prawie nie rozumiał.

Biednym zimno tu było, głodno i smutno; na twarzach zsiniałych malowało się więcej podziwienia, zdumienia niż radości.

Z tych wszystkich wrażeń, jakie czynili Francuzi przybywający, nie spowiadano się szczerze przed królową.

Dwór jej, szcędząc biedną panią, przynosił tylko to co ją pocieszać mogło.

Na prawdę szlachta kręciła węża i myślała w duchu, że lepszymby był może jaki taki Piast, albo i Szwed nareście.

Ale potęga Francji coś też znaczyła.

Zapał dla Henryka, gdy się o Francuzów ocierać zaczęto, ostygł znacznie.

Dla królowej Anny podróż żałobna zimą, powolna, smutna, będąca niemal jednym nieprzerwanym nabożeństwem za duszę brata, była męczarnią tem większą, że prowadziła do miejsca, gdzie się jakieś nowe, nie dające obrachować życie rozpocząć miało.

O małżeństwie natychmiastowym, któreby koronację poprzedziło, mowy nawet nie było. Zostawało ono w cieniu i mrokach jakiejś niepewności, odłożone do nieoznaczonego terminu.

Mówiono o niem tylko półgębkiem. Anna nie wiedziała sama, czy ma się go spodziewać, czy wyrzec i całą miłość przenieść na siostrzeńca, na tego Zysia (Zygmunta), którego myślą za morzami szukała czasem, pragnąc mu się stać matką.

W Miechowie, w kościele Bożogrobców złożono zwłoki, które nazajutrz uroczystie wiodła siostra na Prądnik do biskupiego dworu, gdzie przez dzień cały spoczywały.

W Krakowie przygotowywano pogrzeb wielce wspaniały. Od Henryka miał się na nim marszałek de Retz znajdować, razem z dawniejszym posłem panem Rambouillet.

Pomimo ostrej pory roku uroczystość, wedle tradycyjnych form, odbyła się z wystawą i przepychem nadzwyczajnym.

Na Kleparzu, przed kościołem św. Floryana czekali na wóz żałobny posłowie: cesarski, francuski, węgierski, szwedzki, wenecki, ferrarski, brandenburski, brunświcki, pruski i pomorski.

Gdy po nabożeństwie odbytem tu ruszył pochód, końca mu nie było. Poprzedzało go duchowieństwo, studenci szkół różnych, zakony, tłumy ubogich i ludu. Szli dalej arcybiskup i biskupi pontyfikalnie ubrani, za nimi przeszło tysiąc ludzi w czarnych kapach i kapturach z zapalonemi świecami. Chorążowie wszystkich ziem i województw jechali z chorągwami i pocztami.

Królewską niósł wielką Maciejowski chorąży nadworny.

Trzydzieści koni w kapach czarnych jedwabnych poprzedzało trzydzieści mar okrytych jedwabnemi oponami złotem szytymi.

Za nimi ten, któremu Anna przebaczyła, a kraj darować nie mógł ostatnich chwil króla, krajczy koronny na koniu pięknym, we zbroi pańskiej, miał szczęście przedstawiać *Personę*, to jest widmo jakby króla samego. Za nim jadący Garnysz był w szatach króla, drugim takim osoby zmarłego wizerunkiem żywym.

Senatorowie szli za nimi pieszo, a za nimi oznaki królewskiego majestatu. Zborowski wojewoda Sandomierski niósł miecz, Piotr Zborowski jabłko, Firlej wojewoda krakowski berło.

Po obu stronach wozu, na którym spoczywały zwłoki, szło po piętnastu dworzan króla ze świecami. Następowali cudzoziemscy posłowie i przez posłów cesarskiego i francuskiego wiedziona Anna Infantka, a za nią szereg długi pań i panien.

Ten dzień po złożeniu zwłok w kościele św. Stanisława na Wawelu był tylko jakby początkiem obrzędu pogrzebowego.

Nazajutrz takim samym porządkiem obchodzono inne kościoły.

Nic poetyczniejszego, majestatyczniejszego wyobrazić sobie nie można nad te pogrzeby królewskie dawne, które stworzyło poszanowanie dla swych panów, miłość dla nich i boleść po stracie.

Te masy wypełniające kościół, ten katafalk okryty koroną, przy których z kolei kruszono wszystko, co służyło zmarłemu, miecz, tarczę, hełm, włócznię, pieczęcie, laski, naostatek rycerz konny przedstawiający króla, zapadający się w ziemię u stóp trumny, wywoływały płacz i jęki.

Nie można było wyrazić, dobitniej ukazać znikomości wszech ludzkich rzeczy, potęgi wszelkiej i niezbląganego losu skazującego na śmierć wszystko co żyje.

Potrzebaż mówić, ile siły ducha musiała mieć Anna, aby przybywszy z pogrzebem, dotrzeć do tego ostatniego aktu, gdy widmo brata zapadło się w ziemię w jej oczach, a z niem całą przeszłość.

Jutro stało przed nią mgliste, niepewne, straszne, a choć przyjaciele i przyjaciółki dodawali jej otuchy, bić musiało serce obawą i przecuciem.

Godność tylko Infantki w Krakowie poszanowaną została.

Wyznaczono jej pokoje Bony i dworu dla liczego fraucymeru, sześć tysięcy nadwornego wojska miała przy sobie, postarano się o to, aby na zamku sreber i sprzętu nie brakło.

Łaska i Świdnicka, starsze panie uśmiechając się napomykały, iż zawczasu po francuzku uczyć się zacząć było potrzeba. Nie wąpiły one, iż Henryk przybywa ażeby Annę poślubić.

Znaczna część panów była tego przekonania, że dla utwierdzenia się na tronie będzie musiał to spełnić.

Ze dworu i fraucymeru Anny z tym językiem przyszłego króla jedna tylko Dosia była obeznaną. Chorobliwe jej niemal pragnienie uczenia się ciągle czegoś nowego skłoniło ją dawniej do obeznania się z mową, która teraz cudownie okazała się dogodną.

Anna miała w niej gotowego tłumacza, na którego rachować mogła.

Wprawdzie syn Włoszki, jak ona, Henryk musiał z macierzystą mową oswojonym być od kolebki; zaręczano, że po włosku umiał, ale jeden z posłów wygadał się nieopatrznie, iż nie bardzo wprawnie mową tą władał.

Na dworze zaś jego, większa część, nawet najwykształceńszych Francuzów, oprócz własnego, żadnego innego nie umiała języka. W Polsce, gdzie łaciński tak był naówczas pospolitym, iż cudzoziemcy znajdowali woźniców, z którymi się po łacinie rozmówić mogli, wydawało się to również dziwnem, jak we Francji, iż posłowie polscy wszyscy prawie kilku językami władali.

Dosia, biedny Talwosz to znajdował, zmieniała się jakoś w oczach. Zawsze była dumną i nieprzystępną; teraz, gdy poselstwu francuzkiemu parę razy za tłumacza służyła, a z Francuzami, zachwyconemi jej pięknnością, spotykać się zaczynała coraz częściej, piękna główka jej się zawracała.

Czuła tu wyższość swoją, siłę i, choć się z tem nie wydawała, posądzić było można, że zabierała się z tego korzystać.

Od pierwszych Francuzów Montluca do ostatnich marszałka de Retz i pana Ramboillet, Dosia po kolei wszystkich sobie ujęła i podbiła. Mówiono o niej jak o gwieździe dworu Infantki; zachwycono się nie tylko jej wdziękami, ale rozumem, umiejętnością języka, wyższością nad innymi niewiastami. Przy niej gaś nawet majestat królowej.

Którzejby kobiety oddawana jej cześć nie upoila?

Francuzi, którzy tylko na migi z innymi rozmawiać mogli, oblegali to zjawisko z zapalem, z uwielbieniem właściwym ich temperamentowi.

Zbiegali się, aby ją widzieć, kłaniali do ziemi, wyprzedzali w usługach. Tracili głowy.

Śmiała się niby Zagłobianka z tych holdów, lecz kadzidło takie z czasem zawsze działać musi.

Talwosz pierwszy spostrzegł, że w obejściu się z nim przybrała ten ton nowy, z jakim do Francuzów występowała. Patrzała nań z góry.

Dotknęło go to mocno, uczył coś nakształt politowania, pierwszy raz w tem bóstwie dopytawszy słabostki ludzkiej, ale milczał.

W Krakowie Dosia stała się tak nadzwyczaj potrzebną, iż się na chwilę bez niej obejść nie można było. Wołano ją do tłumaczenia kartek, pism, do porozumiewania się z nadjeżdżającymi Francuzami.

Obok niej zjawiał się tu jako pośrednik karzeł Krassowski, który poprzedził króla i ofiarował usługi swoje Infantce.

Przyczyniwszy się, jak przyznawali wszyscy, do zalecania Polsce Henryka i do jego wyboru, Krassowski dumny był z tego, a teraz cały się chciał Annie poświęcić. Codzień prawie przychodził na pokoje, zawsze prawie go przypuszczano i słuchano z zajęciem

opowiadającego o Henryku.

Na sercu mu leżało równie jego zalecić Annie i Polakom, jak ją i ich jemu w najlepszym przedstawić światłu.

Żywy, gorący, dowcipny, na pół Polak, pół obyczajem i długim pobytom we Francji, Francuz, Krassowski najlepiej rozumiał jak wiele tu ostrych kantów potrzeba było zaokrąglić, aby bez szkody zetknąć się mogły.

Każdy niemal dzień nowe sprowadzał trudności i zadania dla niego. Skarżyli się przybywający Francuzi, żalili przyjmujący ich Polacy. Krassowski jak mógł i umiał szczepił porozumienie i zgodę.

Niczem były te drobnostki obok tego, co posłowie po króla wyprawieni do Paryża mieli tam do przebycia, nim na artykuły i wymagania ich zgodzili się doradcy Henryka. Dochodziły o tem głuche tylko wieści, a ostatecznie wiadano, iż król podpisał, przyrzekł, przyjął czego żądano, i choć się z podróżą ociągał, choć mu bardzo żal było Francji porzucać, nareście do granic Polski się zbliżał.

Ogromny zastęp wszystkiej szlachty najzamożniejszej, najświetniejszej, mogącej wystąpić, z niesłychaną świetnością i przepychem oczekiwał na niego w Międzyrzeczu.

Piętnaście tysięcy jezdnych rozstawionych po otaczających pagórkach, wybór i czoło rycerstwa polskiego witało młodego króla.

Henryk, któremu nie zbyt okazałych trzy tysiące Niemców towarzyszyło aż tutaj, stanął niemal osłupiały widokiem, jaki się oczom jego przedstawiał. Obok tych żołnierzy na koniach ciężkich, odzianych czarno i szaro, nieodznaczających się niczem, rycerstwo polskie wydało się idealnym jakimś obrazem.

Największa różnorodność uzbrojeń, strojów, barw oręża, kosztowne i najpiękniejsze w świecie konie, rzędy świecące klejnotami, okrycia szyte złotem, skrzydła u ramion jeźdźców, malowane ich tarcze, kolczany, pióropusze kosztowne składały się na zachwycającą barwami i wspaniałością całość.

Taż sama różnorodność twarzy, nakryć głowy, postawy, bród i wąsów, siwe włosy obok pukłów młodzieńczych zdawały się mówić, że cały kraj wysłał tu na spotkanie co miał najlepszego.

Krół, który niemal całą podróż odbył z uśmiechem szyderskim i znudzonym na ustach, nie kryjąc się przed Pibrakiem i innemi ulubieńcami, iż wszystko to niepospolicie go nużyło, po raz pierwszy wykrzyknął, okazując szczerze zdumienie i zachwycenie.

Powtarzano, iż miał się wyrazić, zapewne mimowolnie:

— Po raz pierwszy w tej chwili uczulem się królem w istocie!

Nie mniejsze wrażenie mogło na nim uczynić poselstwo panów senatorów, od którego przemawiał tu do niego poważny Karnkowski. Na łacinę jego zmieszany król kilku słowami włoskiemi odpowiedział, zdał resztę na Pibraka.

Na zamku w Międzyrzeczu, potem w parę dni w Poznaniu przyjęcie było ochocze, głośne, wesołe, a tak radośne i szczerze po polsku, iż Francuzom niemal zanadto się serdecznem wydało.

Po polsku też zasypano króla mowami długimi, których on ani ocenić, ani na nie odpowiadać nie umiał.

Z Kurnika na Częstochowę, wszędzie przyjmowany równie serdecznie i huczno, wprost przybył król 14 lutego do Balic pod Krakowem.

Tegoż dnia wiadano o tem na zamku i królowna, do której krajczyna przybiegła z oznajmieniem, iż nazajutrz ujrzy Henryka w Krakowie, potrzebowała się zeprzeć na krzesło stojącem blisko, tak słabą się uczuła i strwożoną. Słów jej zabrakło, chustkę przyłożyła do ust, objęła Łaską i na jej ramionach złożyła głowę, ukryła oczy.

— A! co nam przyszłość gotuje! — szepnęła łkając.

A po chwili dodała.

— Ja jutro tego wszystkiego widzieć nawet nie będę mogła! Jak mu się wyda ta nasza biedna Polska po Francji!

Krajczyna wiele czasu potrzebowała na to, aby zwolna uspokoić Annę i dodać jej odwagi, a wlać w nią to przekonanie, iż Opatrzność nie darmo zrzędziła cudowny wybór Henryka, który z sobą Polskę i jej szczęście przyniesie.

Anna chwilami zdawała się mieć tę nadzieję, ale wprędce doznane zawody, długie cierpienia odbierały jej ją i szeptała krajczynie.

— Może się Bogu podobało dlatego tylko dać mi teraz otuchy trochę, abym tracąc ją ucierpiała boleśniej.

Co moment teraz przybywał ktoś na zamek albo z Balic, lub co młodego pana w podróży widział, i opisywał jego dwór, znajdowanie się Francuzów, ich stroje i t. p.

Rozumie się, iż do królowej nie dochodziły te wrażenia, któreby ją wówczas mogły zasmucić. Nie dopuszczały ich otaczające ją panie.

Tego wieczora obficie było gości, opowiadań i sprzecznych pogłosek.

W mieście panowało poruszenie nie do opisanego, gorączka popisu, radość razem i niepokój. Nazajutrz na powitanie króla występowało co żyło z okazałością niesłychaną.

Królowna Anna parękroć wyraziła po cichu żal swój nad tem, iż nic widzieć nie będzie mogła, oprócz ostatniego aktu, przybycia na zamek, na którego podworce ani część nawet pocztów i zbrojnych orszaków dopuszczoną być nie miała. Dosia, która była przy rozbieraniu królowej, westchnęła także nad tem.

— Gdybym choć ja, za pozwoleniem miłości waszej, widzieć to wszystko mogła, potrafiłabym opisać najlepiej — odezwała się. — Niech mi tylko miłość wasza pozwoli.

— Co ci mam pozwolić? — zapytała królowna.

— Proszę o uwolnienie mnie na dzień jutrzejszy — dodała Zagłobianka z uśmiechem — o nic więcej. Zresztą dam już sobie radę.

Zawahała się nieco Anna, lecz ulubienica tak naglić, prosić i po rękach całować zaczęła, że w końcu milczące przyzwolenie otrzymała.

Godzina już była późna, gdy wybiegłszy z sypialni, śmiała dziewczyna posłała po Talwosza, którego zawsze wiedziała gdzie szukać miała.

Litwin, chociaż dotknięty tem, iż się Dosia nadto Francuzami zajmowała i dozwalała im stroić zaloty, przybiegł natychmiast.

Dziewczę odezwało się tonem rozkazującym, nim miał czas otworzyć usta.

— Patrz wpan, abyś mi na jutro dodnia ułatwił wszystko. Przebiorę się po mężku i muszę od rana widzieć wszystko, abym królownie doniosła, jak się odbyło.

— Po mężku! — wykrzyknął Talwosz. — Ależ noc nadchodzi! sukni nie mamy, przygotowanego nic, a o tem nie myśli panna Dorota, że ją choćby z pięknego lica wszyscy poznają.

— To moja rzecz! — odparła Zagłobianka dumnie — czyn wpan co do niego należy, albo chcesz, abym się zwróciła ku komu innemu?

Talwosz się rzucił.

— Zrobię przez noc co będzie można — rzekł — lecz mało powiedzieć: przebiorę się po mężku. Musicie sobie strój wybrać i oznaczyć.

Dosia krótko się namyślała.

— Włoski strój mnie przysposóbcie — rzekła.

— A z włosami co będzie?

— Nie potrzebuję nakrycia z głowy zdejmować przed nikim, beret lub kapelusz okryje włosy.

Jakim sposobem potrafił Talwosz nazajutrz rano całe ubranie dostarczyć Dosi, która na koniu, po mężku jechać z nim się ofiarowała, nie tłumaczył się z tego. Strój był piękny, choć w oczy niebijący, a na wierzch jego płaszczyka z futrem nie brakło. Koń spokojny był przysposobiony.

Posłuszny Litwin dostarczył wszystkiego, lecz pomimo to, wielce był niespokojny i wyprawę tę odradzał jeszcze, tylko że z Dosią rozprawić i przekonać ją, gdy się uparła, było trudno.

W godzinę po dostarczeniu jej stroju Zagłobianka wyszła przebrana, jaśniejsza pięknoscią, którą mężki strój podnosił jeszcze, wyglądająca tak uroczo, że wszystkich oczy ściągnąć na siebie musiała. Ubiór ten, którego dotąd nie nosiła nigdy, tak jej dobrze przystawał, tak się umiała do niego w ruchach i postawie zastosować, że Talwosz osłupiał.

— Panno Doroto — zawołał — raz jeszcze pozwól mi powtórzyć sobie, że ja za ten krok jej nie biorę na siebie odpowiedzialności. Odradzałem i odradzam. Ściągniecie oczy... Francuzi...

Nie dała mu dokończyć. Mężtwem zuchwałem twarz jej pałała.

— Na koń! — zawołała — dość gadania.

Co się z biednym Litwinem działo, on jeden wiedział. Cierpiał okrutnie, bo i obawa o dziewczę i zazdrość go dręczyła, a stało się to co przewidywał, iż Zagłobianka, która się wcale z sobą nie ukrywała, oczy ciekawe zwracała na siebie.

Domyślano się w niej czy nie przebranej kobiety? — nie wiadomo, ale szlachetna postawa, nadzwyczajna piękność rysów twarzy kazały się w niej domniemywać jakiejś niepospolitej osobistości.

Zagłobianka uparła się szukać sobie takiego miejsca, z któregooby mogła widzieć wszystkich i wszystko. Talwosz jej musiał przebojem często torować drogę, bronić stanowiska, aż do miecza się zrywając.

Oddziały pańskie, które wyciągnęły na powitanie Henryka, miały co najmniej każdy po trzystu ludzi, a było ich przeszło trzydzieści, jedne nad drugie okazalszych.

Tak samo jak niegdyś na powitanie Elżbiety rakuzkiej sadzili się senatorowie na wspaniałość i wytworność, na przesadzenie jedni drugich fantazyą, którą tylko upodobanie ich i możność ograniczały.

Oddziały niektóre były przystrojone na sposób francuzki, włoski, brunświcki, węgierski, ruski.

Na Francuzach największe wrażenie zdawały się czynić poczty węgierskie w hełmach, w kolczugach, z długimi tarczami tak okrywającemi ludzi, iż głowy ich tylko z za nich wystawały, z ogromnemi dzidami malowanemi i złożonemi; okrycia koni skórami niedźwiedzi i lampartów, przy których poczepiane były dzwonki i skrzydła w złożonych osadach. Stawali wlepiając oczy w te postacie, które się im widziadłami jakimiś wydawały.

Stroje kozackie i ruskie nowemi też dla nich były zarówno z tatarskiemi. Iście polska fantazyja nawet niedźwiedzie żywe w kagańcach posadzała na konie dla popisu. Króla przeciągającego przed oddziałami witaly one wystrzałami z organków na wozach stojących, które się obracały i mieściły, gdzie im było potrzeba.

Trąby i kotły wiezione na koniach, huk wystrzałów, okrzyków na cześć przybywającego dosłyszeć nie dawały.

Pierwszy z pocztów, który witał Henryka, był arcybiskupa gnieźnieńskiego, przybrany z węgierska w aksamit czarny ze złotem. Prymas jechał w kolebce szkarłatnej, szczęcią końmi ciągnionej, po obu stronach mając biskupów poznańskiego i płockiego. Za nim ciągnął arcybiskup lwowski, kamieniecki, krakowski z ludźmi po włosku ustrojonemi, w futrach kosztownych; dalej inni biskupi i senatorowie.

Na czele ich jechał krakowski pan z oddziałem Tatarów i Węgrów w zbrojach lśniących. Żaden z tych pocztów nie był do drugiego podobny; barwy, szycia, złoto, srebro, futra, zbroje, skrzydła, coraz inaczej się mieniły spojone, coraz dziwniej podobierane.

Wśród tego oślepiającego przepychu odznaczał się Albert Łaski swemi Tatarami i Węgrami, których konie, rynsztunek, uzbrojenie rwały oczy.

Za Polską ciągnęła Litwa z Radziwiłłem na czele i jego ludźmi w szkarłatach, Chodkiewicz i mnoga drużyna, niedająca się bogactwem zaćmić ani liczbą.

Któż policzy idące za niemi poczty senatorów Wapowskiego, Tarnowskich, Opalińskich, Zamoyskich, Rejów, których skarbcie i odwieczne skrzynie na ten dzień uroczysty się wypróżniły?

Gdy się te szeregi ustawiły na równinie pod miastem samem, widok był, od którego Henrykowi serce po wtóry raz mogło uderzyć, jak gdy go na granicy witano.

Biskup płocki wystąpił w bramie tryumfalnej z mową, na którą znowu Piłbrak tylko odpowiadał.

Naturalnie dopytywano o niego co zaczął być i jak się zwał, a nazwisko z ust do ust sobie ludzie podając, przekręcili na Psibrat i ono mu pozostało.

Spoglądano na króla, wszystkim się wydał cienkim, małym, delikatnym jakimś, a chude nóżki, w obcisłym stroju, szlachcie bociana przypominały.

Ona wolałaby była szerokich ramion, pięści silnej, zbudowanego od siekiery żołnierza i wodza — los jej dawał pieszczonemu dzieciaka, laleczkę strojną jak do wertepu. Niektórzy ciekawsi dopatrzyli się u uszów przywieszonych kolczyków i, nawet mówić o tem nie śmiano, tak się to poczwarnem wydało i nie do wiary.

Noc już była, gdy Henryk wjechał do oświetlonego miasta. Tu na wązkich ulicach, ci co bliżej szli, lepiej mu się mogli przyglądać.

Dosia, której zuchwalstwu dziwnie się szczęściło, wybiegła naprzód, aby miejsce zająć takie, z któregoby Henrykowi długo i bacznie przypatrywać się mogła.

Ukazał się jej w końcu; pod baldachimem ze złotogłowu, niesionym przez panów radnych stolicy, otoczony halabardnikami szwajcarskimi i arkebuzierami gaskońskimi, na pięknym białym koniu, z rzędem wspaniałym, cały czarno, w futrze sobolowem, w toku na głowie opasany sznurem szmaragdów, z ogromną spinką dyamentową nad czołem.

Dosia stanęła tak, iż się z nim oko w oko spotkać musiała.

Jechał blady i zmęczony, z twarzą, na której nuda mimowolnie się wypiętnowała, dopiero gdy oczy jego, błędząc po tłumie trafiły na uroczą twarzyczkę Zagłobianki, która zuchwale wzrok w niego wlepiła, drgnął i dopóki tylko mógł ją oczyma ścigać, nie spuścił ich z tego oblicza, które widocznie go pociągały pięknnością niewieścią ku sobie.

Zaden z wymokłych minionów towarzyszących Henrykowi z tym tajemniczym młodzieńcem równać się nie mógł.

Co sobie oczyma powiedzieli, dumna dziewczyna i zniewieściały Francuz, Talwosz nie umiał odgadnąć, widział tylko, że na twarz Dosi wypłynął krwawy rumieniec.

Zagłobianka, ledwie już okiem rzuciwszy na książąt Nevers i Mayenne, na resztę orszaku wiedzonego przez wojewodów i kasztelanów, nie czekając aż powolny pochód przeciągnie przez wszystkie bramy, któremi droga do zamku była poprzecinana, dała znak Talwoszowi, iż chce uprzedzić na zamek Henryka.

Znowu się więc przedzierać z nią musiał przez zbite tłumy i z niemalą trudnością potrafił ją na Wawel odprowadzić.

Cały dzień przebywszy na mrozie i na koniu, Zagłobianka bynajmniej nie okazując znużenia, dała się zsadzić z siodła i nie podziękowawszy nawet Litwinowi, uciekła się przebrać, aby królownie zdać ze wszystkiego sprawę.

Wkrótce potem dzwony kościelne oznajmiły, iż król się znajdował w katedrze, z której *Te Deum* rozlegało się dziękczynne.

Z okien swoich pokojów widzieć mogła Anna jak go nareście już nocą na zamek wprowadzono, gdzie króla i panów, posłów obcych i dostojniejszych gości uczała na dole oczekiwała.

Tak dzień się ten skończył nużący dla wszystkich, a może najtrudniejszy do przebycia dla Anny, która z trwogą coraz rosnącą oczekiwała widzenia człowieka znanego jej dotąd z wizerunków i pochwał, równie jak one upiększających.

Z okien przemknął się jej tylko szczupły, drobny, dziecinnie jakoś wyglądający chłopczek.

Postawiła go w myśli przy sobie i zasmuciła się. Paziem jej... byłby bardzo miłym — na towarzysza życia poważnej Jagiellonki zdawał się niedorostłym jeszcze.

Westchnęła.

Zjawiającą się Dosię, której twarz od zimna i od doznanych wrażeń pałała, królowna i panie obstały z ciekawością niezmierną.

Widziała wszystko, przypatrzyła się królowi, mogła lepiej niż drudzy opisać go, odgadnąć.

Zawiodły jednak nadzieje, Zagłobianka weszła zmieszana, a znużenie może teraz się dopiero czuć dające, nie dozwalało jej opowiedzieć tego, co widziała.

Król... król wydał się jej pięknym jak wizerunki, które pokazywał karzeł Krassowski, ale Dosia znajdowała, że męskiego w nim niewiele było, chociaż wdzięk w sobie miał wielki i siłę potężną we wzroku.

Nie opatrzyła się zdradzając, iż ten wzrok spotkać musiała i na sobie go doświadczyć. Dopiero gdy się to z ust wyrwało, usiłowała wytłómaczyć tem, co słyszała od ludzi.

Zagłobianka mówiła jeszcze, gdy nadbiegł Krassowski, który na dole króla do stołu idącego czas miał pochwycić i kilka słów z nim zamienić.

Karzeł ręce na piersiach krzyżując zaręczał, iż Henryk był wszystkim zachwycony, że Polska przeszła jego oczekiwania, a wspaniałość przyjęcia Francuzów w osłupienie wprawiała.

— Nie nowina dla nich — mówił śpiesząc się jak zawsze i syjąc słowami jakby się lękał, by mu ich nie odjęto — nie nowina dla Francuzów przepych, złoto i srebro, ale takiej fantazyi cudnej, takiego wymysłu i rozmaitości, takiego kunsztu w barbarzyńskiej Polsce nigdy się nie spodziewali.

Krassowski nie mówił może wszystkiego co słyszał, lecz rokował jak najlepiej o przyszłości.

Orzeł, który stał na bramie w rynku, wesoło witając pana nowego skrzydłami trzepotał.

Wśród tysięcy ludzi, żadnego nie zgnieciono, nikt się nie poskarżył, nikt nie zginął. Anna słuchała smutna trochę i zadumana.

W tym dniu o niej wcale mowy nie było jakby nie istniała. Kiedy przybyły miał ją powitać? nie śmiała pytać nawet.

Nazajutrz, z równym przepychem wedle starego obrzędu odbyć się miała koronacja, lecz noc, która ją poprzedziła, burzę się gotować zdawała. Ci, którzy Henryka wyborowi przeciwni byli, podszeptali dyssydentom, iż przy składaniu przysięgi wolność wyznań i sumienia pominiętą być miała.

Nie było jej w prastarych formułach, bo wiara żadną reformą zagrożoną nie została, teraz zawarowano sobie w Paryżu dodatkowo przysiężenie dobitne zachowania praw wyznań od katolickiego się różniących.

Artykuł ten stał w wydanych przez króla poręczeniach i paktach, ale duchowieństwo katolickie chciało go pominąć milczeniem.

Kto podszeptnął Firlejowi, iż się to stać mogło i groziło? Kto wieść tę puścił z wieczora pomiędzy wodzów dyssydentów i poburzył nią umysły?

Na zamku już wieczorem przy uczcie różnowiercy się tem obesłali.

Nieprzyjaciele nieprzejednani Firlej i Zborowski, który króla na tron prowadził, zgodni w tym byli, że Henryk swobody dyssydentom poprzysiądz musiał.

Katolickie duchowieństwo wcale o tem nie zdawało się zawczasu uwiadomionem. Arcybiskup naturalnem znajdował trzymać się dawnej formy przysięgi, która mogła przejść niepostrzeżona.

Na przyszłość Henryk miał ręce swobodne, sumienie nie związane niczem.

Szeptano już dokoła stołu gotując się na dzień jutrzejszy, gdy król, Francuzi i duchowieństwo nie miało najmniejszego przecucia tego, co się gotowało na ostatnią chwilę najuroczystszą.

Kościół był przepehiony od rana, a ci, którym szło o to, aby wystąpić mogli z głosem i protestem, zawczasu sobie miejsce zabezpieczyli.

Król przywiedziony uroczyście do katedry zasiadł na przygotowanym tronie, królowna Anna zajęła ze swym dworem łożę jej przeznaczoną, z której raz pierwszy lepiej przypatrzyć się mogła temu, który dotąd zdawał się dla niej przeznaczonym małżonkiem.

Z obawą zwróciła wzrok ku niemu, patrzyła długo, zbladła i ukląkłszy z zakrytą rękami twarzą, modlić się zaczęła.

Rozpoczął się powolnie, uroczyście, śpiewami i modlitwami przerywany obrzęd koronacyjny. Cisza panowała w kościele, królowna modliła się ciągle, a krajczyna klęcząc za nią łez się na jej oczach domyślała.

Nagle przerwano śpiewy. Prymas stał przed wielkim ołtarzem i odmawiał modlitwę, król klęczał, oczekując na przysięgę, którą miał złożyć.

Jeszcze chwila i wszystkoby przeszło spokojnie. Wtem wśród momentu milczenia grobowego głos podniósł Firlej i wezwał króla, aby w przysiędze pokój dyssydentom zapewnił.

Duchowieństwo z arcybiskupem stało milczące. Na twarzach biskupów widać było przerażenie, jeden prymas pozostał na oko obojętnym. Niektórzy z pasterzów oczyma się porozumiawszy poczęli szeptać i coraz głośniejszy odzywać, iż stara forma zachowaną być powinna. Za nimi głos podniósł Chodkiewicz.

Kościół, o zgrozo! zmienił się jakby w salę obrad namiętych.

Z pośrodku tłumu wyrzywały się coraz krzykliwsze:

— *Pacem inter dissidentes!*

Za Firlejem teraz wstał Mikołaj Radziwiłł, a nawet wojewoda sandomirski Zborowski.

Królowna w łożu klęcząca, przerażona, osłabła odchyliła się od okna, nie chcąc widzieć ni słyszeć co się działo.

Dochodziło do niej głuche jakby warczenie z głębi tłumy, który nappełniał kościół. Namiętne wykrzyki, spór, kłótnie, odbijały się o sklepienia kościelne.

Cizba ciekawa cisnęła się ku wielkiemu ołtarzowi i kołysała jak fala burzą podjętą. Ponad nią widać było ręce podnoszące się do góry.

Groźby warczały w powietrzu.

— Przysięgać musi!

Francuzi obecni temu, wcale nieprzygotowani do tej sceny, nie mogąc przewidzieć końca, zgorzeleni wybuchem, stali przerażeni, dopytując; niektórzy z nich widząc w tem spisek i zasadzkę, chwyтали już za szpady.

Obraz był rzadki w dziejach. Sędziwy arcybiskup, klęczący w oczekiwaniu król, duchowieństwo nieposzanowaniem kościoła oburzone, dyssydenci tem zuchwalsi, iż się czuli mniejszością, pobożni strwożeni, bojaźliwi przewidujący skalanie miejsca poświęconego; wszystko to zmieszane razem, w tłumie ściśniętym walki na gorące słowa, ruch przy cizbie gniotącej słabych, mogło najśmielszych widzów zastraszyć.

Dwukroć biskup chciał przystąpić do króla z dawną formą przysięgi, a krzyki namiętne nie dopuściły go.

Protestowano głośno.

— Nie przysięże pokoju, nie damy korony.

Okolo wielkiego ołtarza było samo ognisko tego boju. Oczy pałały, drżały ręce, szep-tano, naradzano się. Henryk podnosił błagające oczy ku arcybiskupowi, zwracał je ku Zborowskiemu, ale Zborowscy też domagali się zaprzysiężenia pokoju.

Opór był tak gwałtowny, iż uledz mu stawało się koniecznością.

Henryk szeptał do stojących przy sobie, iż gotów jest na wszystko. Nie podobna było przerwać w sposób tak gorszący rozpoczętego już obrzędu.

Arcybiskup uległ woli jego. Jeszcze w głębi kościoła trwały gorące utarczki między katolikami a dyssydentami, nie uspokoił się tłum, gdy król wyrzekł głośno owe żądane:

— *Pacem inter dissidentes de religione tuebor et manutenebo.*

Firlej, który stał najbliżej, podniósł się na stopień ołtarza i zawołał głosem donośnym.

— Senatorowie i posłowie! król złożył przysięgę żadaną, chcecie aby był ukoronowany?

— Przysięgł na pokój dysydemtom! — poczęła wołać szlachta niespokojnie.

— Przysięgł — odparł Firlej.

— Niech będzie ukoronowany! *Vivat rex! vivat!*

Arcybiskup włożył mu na skroń koronę Chrobrego, a w kościele długo jeszcze wrzawa się ukolysać całkiem nie dała.

Królewnę Annę osłabłą wyprowadzono z łoży na zamek.

Zwycięstwo zostało przy różnowiercach, z wielką goryczą i upokorzeniem katolików.

Na chwilę zażegnane było niebezpieczeństwo przywrócony pokój pozorny, ale chwile takiej gorączki zawsze zostawują po sobie niezagojone blizny.

Ci co się ścierali w kościele, pozostali wrogami; rozejm chwilowo zawarty zapowiadał wojnę długą, a pierwsze odniesione zwycięstwo wcale nie ręczyło za ostateczne następstwa w przyszłości.

W kościele wszyscy pozostali ze zburzonymi umysłami, z krwią zaognioną, z na pół w ustach przeciętymi wyrzuty wzajemnymi, które gdzieindziej wysypać się miały. Nikt nie był uspokojony, a duchowieństwo wrzało niechęcią przeciwko burzycielom powszechnego pokoju, chociaż oni należeli do najwyższych kraju dostojników.

Gdy po zasiądzeniu na tronie i odebraniu przysięg od senatorów, król w stroju swym obrzędowym zasiadł z nimi razem do stołu, na twarzy jego i Francuzów widać było nie-tajoną już ich niechęć ku Polakom, i nieprzejednany wstręt, który się łączył z obawą.

Chwila ta rozstrzygnęła o dalszych stosunkach między obcym panem i garstką jego dworu a krajem, któremu przybywał panować.

Henryk doskonale udawać umiał uprzejmość, przejednanie, wdzięczność, lecz w sercu jego była odraza do tych burzliwych poddanych, którym wcale już nie ufał. Francuzi otaczający go szli dalej jeszcze, milczeli z zaciętymi ustami, ale nieprzejednana nienawiść się w nich zrodziła. Spodziewali się tu uległości, znajdowali nieugięty opór. Sądząc się o wiele wyższymi od Polaków, nie mogli im tych wymagań przebaczyć.

Otoczający króla Polacy starali się dnia tego jeszcze zatrzeć wrażenie smutne sceny koronacyjnej. Katolicy zrzucili całą winę na bezwstydną zuchwalstwo dyssydentów,

Zborowscy starali się króla przekonać, iż chciano jego i ich oszukać.

Wśród tych uroczystości, które mało królowi zostawiały czasu dla zbliżenia się do Infantki, zwrócono wręcz jego uwagę, że powinien był ją powitać. Czas i godzina wyznaczone zostały.

Z bijącym sercem Anna przygotowała się do tego spotkania. Ona i dwór jej musiały wystąpić z przepychem i wykwintnością, do których od dawna były odwykły.

Henryk, który w czasie tym właśnie krwią pisał listy do pozostałych w Paryżu kochanek, dla kobiet zawsze z nawyknięcia był niesłychanie grzecznym. Natura i wychowanie czyniły go zalotnym, chciał się podobać i te nawet zdobywać serca, o które nie dbał wcale.

Ubrany jak lalecza, okryty klejnotami, woniejący, strojny, zręczny, mimo zużycia wczesnego ujmujący wdziękiem młodości, stanął przed poważną królową, starając się widocznie pozyskać ją sobie.

Jakoż ujął ją i oczarował nie tylko słodkimi słowy, jakimi ją przywitał, ale samym dźwiękiem głosu, uśmiechem i obejściem się pełnym pieśczołliwości jakiejś, która zachwycała Annę.

Całą tę komedię zalotów wzięła ona za szczerą prawdę. Henryk wydał się jej niezrównanie pięknym, niewypowiedzianie łagodnym i miłym. Twarz jej mówiła mu jak wdzięcznie i serdecznie go przyjmowała. Rozmowa toczyła się po włosku, bo Anna mówiła doskonale tym językiem, Francuz zaledwie znośnie, ale umiał się ratować tak zręcznie uśmiechami i gestami, że się mało zdradził z tą niewprawą we włoszczyznę.

W czasie tych pierwszych odwiedzin, które dla zbyt zajętych godzin trwały zaledwie kwadrans, król, który rozmawiał więcej oczyma niż usty z królową, miał nadto czas przebieżać niemi fraucymer, który jej towarzyszył, i znalazłszy wśród niego tę samą twarzyczkę cudownie jaśniejącą pięknnością, która go w męzkim stroju w czasie wjazdu uderzyła mocno, dał poznać Dosi, jak wielkie na nim zrobiła wrażenie.

Po wyjściu Francuzów, i Anna i Łaska i inne panie wybuchnęły z pochwałami dla niego, unosząc się nad tą galanterią w Polsce niewidzianą, grzecznością, słodyczą, obejściem, które upoiły wszystkie panie. Nie tała się królowa, że podzielała to ich zdanie o królu, i na chwilę także rozmarzyła się, dała uwieść nadziei.

Zdawało się jej, że i ona musiała na nim toż samo uczynić wrażenie, a towarzyszki potwierdzały to, i radość dnia tego była powszechna.

Nazajutrz powtórzone odwiedziny, równie krótkie, w ciągu których król z większą poufałością, żartobliwie, wesoło starał się zabawiać Annę opowiadaniem o tem, jak go nowi dla niego ludzie, obyczaj, stroje zachwycały — potwierdziły i podniosły jeszcze dnia pierwszego uczynione wrażenie.

Anna modliła się dziękując Bogu i prosząc Go tylko, aby ten początek szczęśliwy nie prowadził do smutnego rozczarowania i zawodu.

Nie miała dotąd Henrykowi nic do wyrzucenia, był tak niesłychanie zajęty, umęczony, porywany, iż więcej czasu poświęcić jej nie mógł.

O ożenieniu, które miało być włożone w pakta i poręczone, jakoś dotąd nie mówiono wcale, nie ukazywało się ono nawet na bardzo odległym horyzoncie. Milczeli wszyscy, ale honory oddawane Infantce, znalezienie się króla, zdawały poręczać za nie.

Rzeczywiście zaś nikt dotąd ani słowem o tem nie śmiał napomknąć Henrykowi, a on umiejętnie bardzo uprzejmością zwłokę starał się osłodzić.

Anna za siebie upomnieć się nie mogła. Bliżsi jej zdawali się pewni szczęśliwego końca. Biskup chełmski, pani Łaska, Chodkiewiczowa i inne przypuszczane do królowej, ciągle zmuszały ją rumienić się, czyniąc alluzje do małżeństwa i domniemywając się, iż Anna bardzo życzliwą była dla przyszłego pana.

Było to powszechnie uznanem i przyjętem; chodziły gadki po dworze całym, że królowa sprzyjała wielce Henrykowi, że on się jej podobał, że była nim zachwyconą.

O nim nie mówiono wcale.

Tymczasem uroczystości, turnieje następowały jedne po drugich... król musiał występować wszędzie. Anna także ukazywała się tam chętnie. Zamieniano ukłony i uśmiechy.

Gdy się z sobą spotykali, a Henryk zobaczył królową, pozdrowił ją publicznie z największym poszanowaniem i uprzejmością, Anna rumieniła się jak młode dziewczę.

Coraz żywiej zajmował ją widocznie, trudno to ukryć było — dwór oczarowany wtórował jej gorąco.

Z najmniejszej drobnostki wyciągano wnioski, tłumaczono słowa, nadawano znaczenie wejrzeniom, ruchom i starano się w królownie uczucie rodzące się ożywić.

W ostatni wtorek Anna wraz z królem znajdować się miała na weselu u Zborowskich, którzy opóźniwszy się na wjazd, teraz z całym przepychem pańskim swojego domu występowali sami jedni.

Do dworu Henryka przyplątał się był od dni kilku Włoch, który dowcipem, maskarami, odgrywanymi małemi scenami, figlami różnemi króla i panów zabawiał. O tym signorze Paolo Magnifico, którego poufalej zwano Mago, zdania były podzielone.

Jedni mieli go za prostego trefnisia i kuglarza, który za zarobkiem gonił, drudzy podejrzewali, nie bez przyczyny, iż był szpiegiem ksiąząt włoskich (toskańskich), którzy radzi byli wiedzieć, jaki obrót na dworze polskim miały nadać okoliczności stosunkom Henryka i Infantki.

Wszyscy jednozgodnie sławili Włocha jako niesłychanie zręcznego, śmiałego dowcispnisa, który śpiewał doskonale, błaznował, głosy różne udawał, na cytrze grał, tańcował, maski w rozmowy improwizowane wprowadzał i sam z niemi sceny zabawne odegrywał, tak że najsmutniejszych mógł do wesołości zmusić.

Śmieli się z niego nawet ci, co go nie rozumieli, tak wiele i dobitnie sama twarz jego mówiła.

Mężczyzna był urody pięknej, gibki, zręczny, mający talent Włochom łatwo przychodzącej mimiki, rozwinięty do wysokiego stopnia, a szczególnie zdumiewający śmiałością i rzutkością słowa.

Półtrefniś Mago, korzystając ze swej roli, pozwalał też sobie wiele.

Miano dawać do stołu, królowna otoczona paniami swemi wysła tylko co na pokoje, gdy jej oznajmiono Włocha Mago, jako posła od króla, a wnet za pazim wpadł signor Paolo z ukłonami do ziemi, ze śmiechem, z potokiem słów, który całe towarzystwo do zapustnej wesołości nastroił.

— Miłościwa królowno — zawołał od progu — jestem posłem nietylko króla, ale wesela! Za mną idą w ślad śmiechy i pustota! Są to dni, w których Kościół pozwala figle stroić, nim głowy popiołem posypie, a Najjaśniejszy król polski radby ani jednej posepnej twarzy nie widzieć w całym swem państwie. Przynoszę pozdrowienie od stęsknionego pana, którego senatorowie nudzą, aż mu uszy od mów bolą. Sam nie mógł przybyć, niestety...

Królowna przyjęła go z uprzejmym uśmiechem.

— Jakże się wam Polska wydała po Włoszech? — spytała.

— Cudownie — rzekł Mago — ale więcej w niej złota niż słońca, i futra niż gorąca. Naród rycerski, a śmieje się bardzo ładnie.

Króla dziś — dodał — w Rynku miasto przyjmuje, gdyby napalić choć kazali. Prawda, że tu w złotych dzbanach płynny ogień leje się obficie.

Misy już na stół podawać zaczęto i panie stanęły przy swych krzesłach, a królowna z Włochem rozmawiając i słuchając dowcipów jego, nie myślała siadać.

Sądziła może, iż go rychło odprawić potrafi. Włoch chciał dłużej pozostać i rachował zapewne na przypuszczenie do stołu.

— Miłościwa Pani — odezwał się ciszej — polewka stygnie, a wy nie spieszycie do niej? Miałoby być powodem tego zadumania, że wczoraj król dotknął jej ręki?

Zarumieniła się niezmiernie Anna, usłyszawszy śmiały ten wykrzyk, ale może nie było jej przykrem, że upatrywano między nią a Henrykiem zawiązujące się bliższe stosunki.

Kazała stolik nakryć przy sobie dla Włocha, który nie przestał prześladować ją Henrykiem, dając do zrozumienia, iż i on zajęty jest Infantką.

Od trefnisia trzeba to było przyjąć bez gniewu. Mago razem jadł, pił za zdrowie króla i ośmielił się prosić Anny, aby i ona razem to drogie wychyliła zdrowie, czemu się ona wcale nie opierała.

Zmusił potem wszystkie panie, aby i one za pomyślność tak pięknego, młodego i tak dziwnie dobrego króla wychyliły kubki.

Naprzeciw niego w końcu stołu siedziała Dusia, którą Włoch tak jakoś ścigał oczyma napastliwie, jakby do niej też miał szczególne poselstwo. Nie przeszkadzało mu to bawić Infantki, rzucać dowcipami, odegrywać zarazem rolę starych, młodych, dzieci i pań,

których głosy przybierał z kolei.

Ze wszystkich siedzących u stołu, tylko królowna, dwie panie cokolwiek i Zagłobianka rozumiała dobrze po włosku. Parę też razy wmięszała się do rozmowy bardzo zręcznie, co Włocha jeszcze więcej ożywiło.

Rzucił jej przez stół parę komplementów, które zapłaciła śmiałym wejrzeniem.

Pod koniec obiadu dosyć nadworowawszy przy królownie, coraz coś nowego wymyślając dla zabawy, Mago począł biegać około stołu i z mimiką przedstawiać razem dwu kłócących się z sobą o piękną panią młodzieńców. Zmieniał tak twarz, postawę i głosy, że w istocie zdawało się mogło, iż nie on jeden, ale dwu innych było ludzi. W tej wędrówce około stołu, skończywszy scenę wybornie odgrywaną, za którą królowna podarek kilkadziesiąt skudów wartujący przynieść mu kazała, Mago znalazł sposobność rozmówić się z pięknym dziewczęciem, tak że nikt nie spostrzegł tego.

— Signorina! — rzekł żywo — klęę się na piękne oczy twoje, iż mam do was polecenie, ważniejsze może niż to, które królownie przyniosłem.

— Do mnie? od kogo? — przerwała dumnie Dosia.

— A! nie marszczcie brwi tak groźnie! Cześć wam to przynosi — zawołał Mago. — Król sam rozmiłowany jest w was.

— Czy to żart zapustny? — odparła Zagłobianka.

— Nie, najrzetelniejsza prawda! Gdym odchodził szepnął mi, abym przy podanej zręczności odniósł wam westchnienia od niego.

— A was wybrał za posła, was co śmiech nie westchnienia nosić zwykliście?

— Jak gdyby westchnienie w radość i szczęście się zmienić nie mogło? — rzekł Mago śpiesznie. — Mnie zlecono tylko odnieść, że jesteście bosko piękna, czy równie okrutna?

— Zgadliście — rozśmiała się Dosia — mężczyźni nie wierzę żadnemu.

— Ani królowi?

— Mniej niż innym! bo dla nich ludzie zabawkami.

Włoch więcej mówić nie mógł.

Po obiedzie trwała jeszcze rozmowa ożywiona bardzo z godzinę, a królowna z początku dosyć milcząca, powoli tak jakoś dała się Włochowi ożywić, iż z ust jej uśmiech nie schodził.

Mago, który może nie bez przyczyny przypisywał to częstemu przypominaniu Henryka i zręcznemu przesładowaniu królownej, nie przestawał mówić o nim, wynosząc dobroć, słodycz i szczodrobliwość jego pod niebiosą.

Nie wiadomo jak długoby Mago pozostał tu ujęty łańcuchem, który mu Łaska przyniosła, gdyby dwóch królewskich posłańców nie przybiegło po niego. Czas nadchodził, gdy Henryk wprost z Rynku, na którym przyjmował hołd miasta Krakowa, miał się udać na wesele do Zborowskich.

Królowna być tam miała także.

— Poprzedzę W. Kr. Mość — odezwał się zegnając Włoch — i wiem, że będę dobrze przyjętym, gdy przyniosę wesołą nowinę, iż król widzieć was tam będzie.

Odmłodzona, odżywiona Anna poszła się stroić i, co nigdy nie bywało, troszczyła się o swe ubranie, pytając Łaskiej jak ma włosy utrefić, co włożyć na głowę i jaka suknia najlepiej przystanie jej, tam gdzie się jako królowna odznaczyć czemś musiała.

Ze skąpo pozostawionych córkom przez Bonę klejnotów, które na odjeździe niechętnie im wydzieliła, musiano dobyć najpiękniejsze, najdroższe, bo Henryk zawsze najwytworniej był przybrany, z niewieścią elegancyą, a kolczyki jego z dużych pereł w jednych podziwienie, u drugich śmiech pobudzały.

Nie lada to było wesele panów Zborowskich, na którym król i królowna znajdować się mieli. Rodzina, która się tem szczyciła, że ona tron polski dała Henrykowi, zawsze ze krwi i ducha była butną i nikomu nad sobą przewodzić nie dała. Powodzenie jakiego doznała czasu elekcyi, pokonawszy cesarskich i cesarza, wbijało ją w tem większą dumę.

Zdało się panom Zborowskim, że oni teraz w tem królestwie obok Tarnowskich, Tęczyńskich, Melsztyńskich i najstarszych rodów zająć miejsce byli powinni. Jastrzębiec nie wydawał się im gorszym od Topora i Leliwy.

Mniej dotąd na widoku ród panów Zborowskich i w dostatki urósł i w dumę z nich a siły swej niezmierną. Obok niej mieli Zborowscy to co ją podwaja: śmiałość, odwagę, powiedzmy, zuchwalstwo ogromne. Wszyscy ludzie rycerscy, silni, odważni, nieuleknieni,

mieli temperamenta warcholów, którzy gdy nie mogą bić się i walczyć, tęskno im, a gotowi szukać powodu, aby dobyć szabli i ująć za toporek.

Tam gdzie kilku Zborowskich głos podniosło, nikogo już więcej słyszeć nie było, tak, nawet spokojnymi będąc, wykrzykiwali.

Wszyscy lubili błyszczeć, popisywać się, przodem iść, nikomu przed sobą nie dać wziąć kroku. Mówiono, że na wjazd królewski spóźnili się nie przez winę że się źle obrachowali, ale umyślnie, aby teraz sami występując z rycerstwem nadwornym okrytem stalowymi kolczugami, błyszczącymi jak srebro, popisać się mogli.

Na wesele to, które król i co było najprzedniejszego w królestwie zaszczycić mieli swą przytomnością, nie żalowano nic. Nietylko gości, ale gawiedź miejską, która kamienicę obiegała, karmiono i pojono kosztem nowożeńca. Stawiano jej beczki po beczkach, aby wiwaty pod oknami wykrzykiwała.

Dwór i służba w szkarłatach od srebra i złota, z królewską mogła iść o lepszą. Wesele to Kraków miał długo pamiętać, bo podobnego mu nie widział oddawna.

Wprost z Rynku, gdzie na majestacie zasiadał, Henryk poszedł do kamienicy Zborowskich, zaledwie strój uroczysty zamieniwszy na nieco lżejszy. Towarzyszyli mu wszyscy jego Francuzi, Pibrak, który był nieodstępny, bo zawsze prawie za króla głos zabierał, książęta i panowie, z podziwieniem ale z niezbyt ukrywaną ironią przypatrujący się polskim obyczajom, wydającym się im dziwnymi trochę.

Raził ich jaskrawy przepych polskich panów, serdeczna otwartość, swoboda i rubasność słowa, ta szczerłość wielka, z jaką tu miłość i nienawiść się wyrażała na nic nie oglądając.

Oni umieli doskonale przymilać się nienawidząc, uśmiechać, gdy gryźć chcieli, kłamać usty, oczyma, słowem i postawą, gdy tu wszystko leżało jak na dłoni. Nie napadano po kryjomu i po ciemku, nie zabijano po kątach, ale codzien i na ulicach i po domach zrywano się do szabel, a potem często ludzie sobie padali w objęcia i przyjaźń poprzysięgali.

Francuzom się to wydawało śmiesznym i zbyt prostodusznym.

Scena w czasie koronacji w kościele zostawiła po sobie w początku i kwasy i obawy, które się powoli zacierać i łagodzić zaczynały. Francuzi jednak pozostali nieufni, podejrzliwi i niechętni.

Po królu, który lepiej od innych komedję grać umiał, trudno było poznać co się w duszy jego działo. Przed Polakami zaręczał, że zapomniał o wielkiej doznanej przykrości, do której powodu nie dał. Dwór jego milczał grzecznie i unikał o tem wzmianki. Na twarzach, gdy cokolwiek się zapomnieli Francuzi, widać było niepokój i obawy.

Wielu z tych, którzy tu pozostać obiecywali przy królu, zaczynało pod rozmaitemi pozory wybierać się do Francji.

Stosunki z nią, pomimo dosyć utrudnionych przez Niemcy podróży, były niezmiernie ożywione.

Mówiono, że król wszystkie wolne chwile spędzał na pisaniu listów do matki i kochanek. Codzień przybiegali posłańcy, codzień ztąd wyprawiano zaledwie wypoczętych.

Czuć było, że Henryk całą duszą i sercem był nad brzegami Sekwany i że stokroć go więcej obchodziło to co tam niż co w Polsce i Krakowie się działo.

Gdy listy przywożono, gdziekolwiek się król znajdował, natychmiast mu je przynosić musiano, a gdy dnia którego brak ich było, tęsknił i niepokoił się.

Panowie senatorowie widzieli dobrze, iż Henryk dotąd ze sprawami polskimi wcale się nie obeznał i nie brał ich do serca, ale obiecywali sobie, iż się to z czasem zmieniło.

Zabawiano go, rozrywano, czynił każdy co mógł, ażeby król się nie nudził i nie tęsknił po Paryżu.

Do Zborowskich, oprócz licznego dworu polskiego, wszyscy Francuzi zaproszeni tłumnie się zebrali.

Zdawało się, że od koronacji dali sobie słowo na chwilę pana swego nie opuszczać i czuwać nad nim, jakby się obawiali Polaków.

O ile sam król był grzecznym i uprzejmym dla wszystkich, towarzyszący mu książęta i dwornia jego butą i lekceważeniem zrażała Polaków. A że się z nimi trudno było porozumieć, bo języka nie rozumieli, a nie wszyscy łacinę znali, nieustanne ztąd wynikały nieporozumienia.

Gdy króla wprowadzono na pokoje, a państwo młodzi i rodzina ich otoczyła go, zaczęto obnosić wino i słodycze, odezwała się muzyka, młodzież zabierała się do tańca, ale król oświadczył, że potrzebuje spocząć nieco. Posadzono go więc na przygotowanym tronie w głębi sali i koło niego co było przedniejszych osób zbierać się zaczęły.

Henryk udawał ożywionego, wesołego, wszystko niepomiernie wychwalając.

Trochę późno ukazała się ze swoim fraucymerem wybranym, z Zosią Łaską, z Dosią Zagłobianką, z krajczyną i z kilku starszemi paniami, poważna królowa Anna.

Weszła na pokoje wprowadzona przez gospodarzy, zmieszana nieco, a król z uprzedzającą grzecznością natychmiast zbliżył się aby ją powitać.

Z boku stojący mogli wnosić z jego postawy, iż wielce pragnął ująć sobie Infantkę, a na jej też twarzy widać było radość z tego i rozpromienienie.

Pomimo tej dobrej zgody dwojga, jak sądzono powszechnie, przyszłych małżonków, jedno spojrzenie na nich, ogromną różnicę ich wieku dostrzedz dawało.

Świeża jeszcze, ale resztkami tylko młodości kwitnąca Jagiellonka, obok Henryka wydawała się starszą, on przy niej wyrostkiem zaledwie. Strój obcisły, elegancki, ale wyszukany po niewieściemu, wstążki, koronki, klejnoty, utrefienie włosów odmładzały go jeszcze.

Ironiczny uśmiech mógł uchodzić za serdeczność i dobroć, Anna się nim ludziła, lecz starsi ludzie patrząc zdala potrząsali głowami.

Rozmowa z Infantką wpośród tłumu ciekawie się jej przypatrującego, bo podsłuchać dla gwaru i muzyki było trudno, zdawała się obrachowana nie tylko na ujęcie jej, ale na okazanie wszystkim, iż Henryk myślał o spełnieniu swych zobowiązań — o ożenieniu.

W myśli Henryka i Francuzów było to tylko fortelem potrzebnym dla pozyskania czasu. Wiedzieli, choć z krótkiego doświadczenia, że w Polsce brano wszystko za dobrą monetę.

Odprowadziwszy Annę na miejsce dla niej i pań przeznaczone, Henryk z Francuzami w tłum się wmieszał, z przyjemnością widoczną przypatrując pięknym twarzyczkom dziewcząt i pań polskich, których ciekawe oczy ku niemu skierowane były.

Z wszystkich jednak, Dosią najwięcej Henryka ku sobie pociągała, może tem, że ją naprzód w ulicy widział w męzkim stroju. Dworacy już się dla niego dowiedzieli o jej sieroctwie, charakterze, niepospolitem wykształceniu, umiejętności języków, i Villequier ulubieniec pański, szczególnie sprawami serca i miłostkami króla zajęty, powtarzał, że to była losem dla niego wyznaczona kochanka.

Wcale Francuzów nie zdawało się zrażać, gdy im zaręczono, że panna była dumną i nieprzystępną.

Wśród tańców, przeznaczone dla zabawiania gości na różny sposób maskary różne przybywać zaczęły i mieszając się z tłumem, figle wyprawiać, dowcipnemi słówkami drażnić.

Domyślano się pomiędzy temi maskami Maga i jego towarzyszków, o których król wiedział i życzył sobie, ażeby się tu znajdowali dla rozbawienia towarzystwa, lecz oprócz Włochów, których liczba była wiadomą, masek daleko więcej znalazło się wkrótce.

Pibrak, Bellievre (poseł francuzki), Villequier, Souvray i inni mieli baczność na pana, aby nie każdemu dozwolili się do niego docisnąć, lecz nie mogli od następujących masek obronić.

Jedna szczególnie, zdająca się młodym chłopakiem, zręczna, gibka, przeciskała się przez najciaśniejsze gromadki, wślizgała między stojących szczerlnie, i długo tak przewijając, potrafiła w końcu dostać do Henryka.

Zręczna ta figurka wprzód już musiała na siebie zwrócić jego uwagę i wydać mu się nie straszną, gdyż zbliżającą się zaczepił. Król zmuszonym tu był posługiwać się językiem włoskim, który daleko więcej osób rozumiało niż francuzki. Na zapytanie rzucone za kim goił i kogo szukał, zagadnięty odparł po francuzku.

— Ciebie, najjaśniejszy panie.

Dźwięk mowy był tak czysty jakby nie z ust cudzoziemca wychodził.

— Masz co do mnie? — zapytał król.

— Bardzo wiele, gdyby po temu czas i miejsce było! — zawołał zamaskowany.

Henryk popatrzył bacznie, maska wesoło podrygując mówiła dalej.

— Żal mi was, najjaśniejszy panie!
— Mnie?
— A! tak! grozi ci tu więcej niebezpieczeństw, niż twoi przewidują, niż ty sam domyślać się możesz.

Henryk spoważniał.

— Chcesz mnie nastraszyć — rzekł — ale wiedz, że to niełatwo.

— Wiem, że masz mężstwo — poczęła maska — ale nie dosyć odwagi, potrzeba ostrożności.

Widzisz tę kobietę, którą ci, jak na szyderstwo, przeznaczają za żonę, gdy ona matkąby ci być mogła. Wiesz, jaką była jej matka i co ona po niej wzięła w spuściznie?

Bona wojowała trucizną i czarami, a to nieodrodna jej córka.

Całemu światu wiadomo, że ona otruła brata, aby po nim skarby odziedziczyć; wszyscy wiedzą, że czarownicą jest, że czaruje niepochwyconymi sposobami.

Henryk pobladł, zwrócił oczy na maskę, ale nic nie odpowiedział.

— Strzeż się jej, nie zbliżaj! pamiętaj... Usidli cię, opanuje...

Pierwszy to raz do uszu Henryka dochodziły te potwarze i nie dziw, że na nim głębokim uczyniły wrażenie, tak że odpowiedzieć nie umiał i nim się zebrał na słowo, maska wysliznęła się szybko, wmięszała w tłum, znikła.

Villequier stał niedaleko, Henryk szepnął mu, aby się starał uchodzącego zatrzymać i dowiedzieć kto był, lecz nim Francuz zdołał się za nim precyzyjnie, maski nie było już śladu, a dopytywani o nią wszyscy się tem składali, że nie znaną im była.

Henryk nie wziął może bardzo na seryo tych ostrzeżeń, ani im dał wiarę, chociaż powodów i celu takiego oszczerstwa trudno mu było dociec, zawsze jednak śmiała ta potwarz utkwiła w jego pamięci. Rzucił wzrokiem na poważną Annę i myślał, że czarownicą i trucicielką być może, inaczej mu teraz wyraz twarzy jej tłómaczyła.

Niczego naówczas nie lękano się tak jak czarów i uroków, tych tajemniczych środków pozbywania ludzi, przyciągania ich ku sobie, władania nimi, które znane być miały adeptom czarnego kunsztu.

Musiał jednak król, którego wkrótce otoczyli panowie, przybrać znów wesołe oblicze, i nie dawać poznać po sobie, iż trwogę miał w sercu.

Nie zbliżył się już do Anny, natomiast Villequier wypatrzywszy chwilę, gdy Dosię Zagłobiankę do tańca wzięto, podprowadził tak Henryka, aby mógł z nią zawiązać rozmowę.

Nikogo ona dziwić nie była powinna, bo wiadano, że Dosia jedna prawie z kobiet umiała po francuzku, a to starczyło, aby króla ku sobie pociągnąć mogła.

Zagłobianka widziała, że się ku niej Henryk przybliżał, udawała jednak, iż się tego nie domyśla, i gdy Henryk zagadnął ją tem, że czasu wjazdu widział po mężku przebraną, odparła zarumieniona.

— Wiadomo światu, że kobiety są bardzo ciekawe.

— Cieszę się z tego — odparł król — bom miał sposobność widzieć najpiękniejszą z kobiet, w najlepiej jej służącym stroju.

Dosia spuściła oczy.

— Nie powinnabym się przyznawać do popełnionej winy — rzekła — ale mam nadzieję, że W. Kr. Mość ani mnie karać, ani wyśmiewać nie zechcesz.

— Ja? — zawołał król — przeciwnie, na wszystkoby wam pozwolił, byle łaskę pozyskać.

— Łaskę? — rozśmiała się Dosia, kryjąc twarzyczkę wachlarzem, a z ukosa spoglądając na króla.

— Wiercie mi — pośpiesznie, korzystając z czasu, dodał Henryk — że mi wielce o to chodzi. Wy tu jesteście jedyną, na którąby po dniach całych patrzeć się chciało.

To mówiąc król, któremu Villequier dawał znaki, aby rozmowy nie przedłużał, pochylił się jeszcze do Dosi, szybko coś szeptać jej zaczął, i oddalił się żywo, bo już oczy na nich się zwracały.

Nie zdziwiło to przecież tak bardzo nikogo, iż król do ładnego dziewczęcia przemówił słów parę, zwłaszcza że naprawiając to, zwrócił się do kilku innych pań z grzecznościami, aby dane pierwszeństwo jednej nie raziło.

Poza tańczącymi stał nieszczęśliwy Talwosz. Inaczej go teraz nazwać nie było można, istotnie był nieszczęśliwym.

Kochał Dosię całą siłą serca, a nie szło mu nawet o to, aby ją dla siebie pozyskał — trwożył się, ażeby ona nie upadła i w oczach jego nie została zrównaną z temi, ponad które on ją tak wysoko wynosił.

Czuł i przewidywał, że się jej główka zawrócić mogła, a Zagłobiance słowa powiedzieć nie było można, tak siebie pewna szła, nie zważając na nic.

Napróżno chciał sobie tłómaczyć Talwosz jej powolność dla króla tem, że dla Anny u niego pożyteczną być zamierzała. W oczach jej, w wyrazie twarzy czytał jakiś poczynający się szal, jakąś zapowiedź zapomnienia się i rzucenia w przepaście.

Od Francuzów łatwo się było dopytać, jakie życie i obyczaje panowały we Francyi, sami się oni z tem zdradzali. Talwosz wiedział, że kobiety były płocze, a mężczyźni w stosunkach z niemi zuchwali.

Drżał z obawy o Dosię.

Jak tylko mógł później zbliżyć się do niej, nie strzymał tego, co mu serce przepęniało.

— Panno Doroto — rzekł — wiesz o czy boleć, nie wiem, ale król widocznie za wami goni. Jemu się nie dziwuję, ale dla was...

Odwróciła się gniewna.

— Cóż dla mnie? — odparła szydersko. — Sądzicie, że zaszkodzić mi to może nawet, gdy kto spojrzy na mnie?

— Jest taki wzrok co zabija, powiadają — odezwał się Talwosz — to wzrok bazyliuszka, ale jest i taki co plami.

Oburzona zmarszczyła się dziewczyna.

— Wstąp wpan do klasztoru, abys miał prawo na weselach prawić kazania! — rzekła śmiejąc się ale gniewnie. — Narzucasz mi się za opiekuna, nie mogąc być czem innym.

— Przyjacielem byłem i będę, choćbyście na mnie kamieniem rzucali — rzekł kłaniając się Litwin — od was przyjmę wszystko, kiedyś poznacie mnie lepiej.

Zagłobianka zmierzyła go pogardliwym wzrokiem. Talwosz milczał i usunął się.

Zabawa nadzwyczaj ochocza, coraz się stawała bardziej ożywioną, ale król pod pozorem znużenia dłużej zabawić tu nie chciał. Poszedł pożegnać królową, chociaż nie zbliżył się już do niej i ukłonem tylko uprzejmym uszanował. Zaraz potem w towarzystwie swoich Francuzów i Tęczyńskiego młodego, przeprowadzany przez Zborowskich, wsunął się do oczekującej kolebki.

Wiedzieli już panowie Zborowscy, iż Tęczyński ten przez króla miał być do osoby jego przywiązany i marszałkiem lub podkomorzym mianowanym, co w nich zazdrość obudzało.

Stary ten ród zajmujący znowu stanowisko najbliższe króla był solą w oku Zborowskim, którzy sobie pierwsze prawa rościli do otoczenia Henryka i zawładania nim.

Samuel, który odwiódłszy do kolebki króla pozostał chwilę z braćmi u drzwi, nasrożył się okrutnie.

— Patrzcie no ich! ledwieśmy parę dni zaspali, już się wcisnąc, przypochebić i uprzędzić nas potrafili! Leczą, na Boga, myślą się sądząc, że oni nas zepchnąć potrafią poza siebie. Wiemy co nam należy, a nie zechce król czynić co powinien dla nas, damy mu się lepiej we znaki niż na koronacy.

Daliśmy mu koronę, to ją zdjąć też potrafimy.

Wrzał pan Samuel, starano się go powściągnąć, bo wielu ludzi słuchało, ale na to on baczenia mieć nie chciał.

— Wszystko to sprawy są katolików — przerwał któryś z dyssydentów — nie o panów Zborowskich chodzi, ale o ujarznienie sumień naszych i o wprowadzenie inkwizycji, albo o rzeź taką jaką w Paryżu zarządzili! Król przysiągł, ale go z przysięgi papież rozwiąże, byle się pozbyć nienawistnych.

Ani pora, ani miejsce było do podobnej rozprawy, którą dochodząca otwartymi drzwiami wesoła muzyka głuszyła. Nie odpowiedział więc pan Samuel, ale na twarzy jego namiętne widać było poruszenie.

Wszedł z braćmi napowrót do izb przepęlnionych jeszcze wesołemi gośćmi, którzy nie zdawali się zważać na to, iż północ nadchodziła, a z nią post wielki się rozpoczynał.

Z pewną ostentacją chciano tańcami przeciwko surowemu zachowywaniu katolickiej powściągliwości protestować.

Na dzień następny w zamku miasto innych zabaw rano był turniej zapowiedziany, a król sam obiecywał wziąć w nim udział, biegając do pierścienia i chcąc w tym zręczność swą okazać.

Samuel Zborowski spodziewał się znaleźć przeciwnika godnego siebie i zetrzeć się z nim w turnieju.

Noc popielcowa, która wesołe krakowskie zamykała zapusty, mało komu zasnąć i spocząć dozwoliła. Jedni potrzebowali rozprawić się z przeszłością i ocenić to co przeżyli, drudzy obmyśleć co mieli jutro poczynać.

Od pierwszych dni to uważano, że młody król i jego towarzysze Francuzi z niecierpliwością wyglądali zawsze chwili, gdy mogli sami z sobą pozostać.

Jeżeli choćby jeden Polak, nawet tak miły królowi i zaufany jak Jan z Tęczyna, był z niemi, Francuzi wstrzymywali się, miarkowali, na pół przegryzali słowa, spoglądali na siebie i zamykali ostrożnie. Chwalili wszystko.

Dopiero gdy pozostali sami, gdy Henryk miał tylko około siebie swą wierną służbę przywiezioną z Paryża, straż pilnowała drzwi, i w pokojach królewskich rozpoczynały się zwawe rozprawy, śmiechy, swawole, a niekiedy wrzawliwe rozmowy, w których podstuchający pode drzwiami pięknych i ciekawych rzeczy mógł się o Polakach dowiedzieć.

Prawda, że nie lepszych może o Francuzach by się nasłuchał, tam gdzie Polacy sami byli, a obyczaj ich i sprawy przyszło im sądzić.

Król, który już po owej burzliwej koronacji ręczył, że zapomni o wszystkim i przebaczył co doznał, w rzeczy zachował na dnie serca żal i pragnienie odwetu. Chwila ta wpoila w niego dla narodu, któremu miał panować, niechęć i odrazę do niego niepokończoną.

Dworacy nie tylko mu wtórowali, ale szli daleko dalej od niego. Pomiedzy niemi nie było ani jednego, któryby się starał pojednać, złagodzić, wytłómaczyć, wszyscy obwiniali. Czuli oni i Henryk, że długo tu wyżyć nie potrafią.

Tęsknota za Francją rosła razem z nowinami odbieranemi, które donosiły o złym stanie zdrowia Karola IX., a nie było wątpliwości, że królowa matka w razie katastrofy, choć oddalonego będzie się starała na tron wprowadzić Henryka.

Błysk tej, choć jeszcze oddalonej nadziei, czynił Polskę i koronę czemś tak mało znaczącą i tymczasową, że tu na przyszłość wcale pracować nie chciano. Szło tylko o to, żeby przeżyć jako tako, a dworacy króla starali się mu ten czas pokuty uczynić znośnym.

Z Francuzów, kto tylko mógł i znalazł najmniejszy pozór, wymykał się nazad do Francji, nie zapominając z sobą zabrać prezentów, jakimi go w Polsce obsypano. Odjeżdżającemu zazdrościli pozostający.

Króla nazywano po cichu męczennikiem. Henryk tęsknił za kochankami opuszczonemi, do których krwią wyklętą z palca pisał listy, wzdychał do porzuconych nad Sekwaną faworytów, wzdrygał się na piwo polskie, które czasem brał do ust dla przypodobania się panom i szlachcie, i był najnieszcześniejszy.

O zameścium z Anną ani mowy być nie mogło.

Gdyby mu nawet nie podszeptano, że była czarownicą i że otruła brata, sam widok niemłodej, smutnej, poważnej kobiety, dla płochego pana był wstrętnym.

Lecz właśnie dlatego, iż się wcale żenić nie myślał, musiał być dla niej niezmiernie uprzejmym, postanowił nadszakać, chciał ją tem uspić.

Później spodziewał się z tą garstką panów, która małżeństwo widziała również niepolitycznym, bo chciała ożenienia, któreby dynastję zapewnić mogło, uwolnić się z więzów przyrzeczenia, a Annie zapewnić byt spokojny.

W pierwszej tej chwili nagle nie godziło się wystąpić, Henryk więc wyrachowanie musiał tak się obchodzić z Infantką, jakby w istocie o ożenieniu z nią myślał.

Nic dziwnego, iż się tem nietylko królowa złudzić, ale dwór jej dał zupełnie obalamucić. Panie wszystkie prorokowały ożenienie i szczęście wielkie.

Anna uśmiechała się milcząca.

Czasem ją ostrzegało to co przeżyła, iż ludzić się nie powinna była, ale marzenie zbyt było słodkiem, aby mu się nie poddać.

Donoszono jej skrzątnie o wszystkim, co mogło dowieść, iż Henryk się nią zajmował, krajczyna nie wątpiła, że musi się żenić. Wielu panów senatorów było tego najmocniejszego przekonania. Stał przecie gdzieś ten warunek w podpisanych zobowiązaniach.

Po weselu u Zborowskich król powróciwszy na zamek, pod pozorem wielkiego znużenia natychmiast panów polskich odprawił, nawet Tęczyńskiego, Francuzi z nim pozostali sami; był to moment dla nich, w którym dopiero się rozpasać i usta śmiało otworzyć mogli.

O obrzędzie hołdu w Rynku niewiele się dało mówić: był świetny i nużący; zato wesele wcale różne od francuzkich, o wiele rubaszniejsze, dziwiło razem i śmieszyło.

Stroje pań podstarzałych wedle krajowej mody, niektóre czółka wysadzane jeszcze z XV. wieku pochodzące, suknie kosztowne nie terażniejszym krojem, wszystko aż do form tańca i muzyki dla Francuzów dziwacznem i śmiesznem się wydawało.

Zborowskich jaskrawy przepych, popis z bogactwy, zuchwałe ich mowy i obejście się, mowa krzykliwa ulegały krytyce.

Villequier nie mógł się wydziwić niezmiernej ilości piwa, jaką Polacy w siebie wlewali i przyprawom potraw, których dla piekących korzennych sosów w usta wziąć nie mógł.

— A! — zawołał król, który już się nie potrzebował pomiędzy swojemi ze zdaniem kryć i wszystko chwalić — powiniecie sobie panowie powiedzieć, iż jesteśmy w kraju niedźwiedzi i nie dziwić się już niczemu. W czasie wjazdu widzieliście przecie wśród pacholków nie wiem którego wojewody niedźwiedzia na koniu z tarczą w łapach, był to obraz kraju i jego mieszkańców najwierniejszy.

— Ba! — przerwał niemłody już siwiejący, ale żywy i ruchawy doktor królewski Miron. — Bądź co bądź kraj to ciekawy. Z pomiędzy panów mało który nie zna i obcych państw, i cudzych języków, wszyscy wiele widzieli i uczyli się, a żadnego z nich to nie przemieniło. Klimat ich chyba takimi czyni.

Król stał zadumany.

— Kobiet pięknych jest dużo! — rzekł cicho.

— A! — przerwał Villequier — cóż po tem, wszystko to zimne, nieokrzesane, naiwne aż do śmieszności, a galanterya, słodkie słowa dla nich stracone. Paryska mieszczanka więcej ma dowcipu niż te panie najświetniejszych imion.

— Wyjątek musicie uczynić — odezwał się król — dla tej panienci z fraucymeru Anny, która Paryżanką i księżniczkąby być potrafiła, nietylko pięknoscią ale dowcipem.

— Tak — zamruczał Villequier — ale zuchwalstwo i odwagę ma czysto polską, a niewieściego mało.

— Dziwnie piękną się wydawała — odparł Henryk — gdy czasu wjazdu po mężku była przebraną.

Souvray, jeden z ulubieńców króla, rozśmiał się.

— Lękam się wielce o tę piękność — rzekł — chociaż broni ją to, że do Infantki należy.

Do pokoju króla wszedł w tej chwili młody Jourdain, który się liczył do najmilszej królowi garstki jego towarzyszków.

— Na jutro gotuje się nam bodaj dramatyczny turniej — rzekł złośliwie. — Samuel Zborowski zatknął na placu swoją włócznię i postawił tarczę, ofiarując się na cześć króla z równym sobie stoczyć bój.

— To będzie igraszka — odparł Henryk. — Zmówią się z kimś pewnie, aby sobie zbytniej nie zrzadzili szkody.

— Nie wiem — dodał Jourdain — ale zdaje mi się, że jeśli było co ułożonego, to się nie powiodło. Wczorzem prosty służalec hrabi z Tęczyzna, jakiś Kroat, porwał podobno włócznię i uniósł ją z sobą, wyzywając Zborowskiego.

Mówią, że pan Samuel dowiedziawszy się o tem, wściekły się odgrażał na Tęczyńskiego, utrzymując, że namówiony sługa afront mu ten uczynił.

Naturalnie z podłym Kroatą bić się nie będzie, ale wyzwie jego pana.

— Miałby istotnie tę złośliwą intencję Tęczyński? — zapytał król. — Nie spodziewam się. Waśni i tak jest dosyć.

— Nie wiem — mówił Jourdain — sądzą o tem różnie, ale są ludzie, którzy utrzymują, że między Zborowskiemi a Tęczyńskimi nienawiść jest stara, i że to ją na nowo rozjątrzy.

— Niepodobna — przerwał król — aby mi tu chcieli uroczystości zawichrzyć i trudności przymnożyć; potrzeba o tem mówić z Tęczyńskim, jest to człowiek łagodny i spokojny.

— Tak, ale z raz podrażnionym Zborowskim trudniej będzie — rzekł Villequier. — Wszyscy oni ile ich jest, stworzeni się zdają, aby nikomu pokoju nie dali i sami go nie mieli nigdy. Walka jest ich żywiołem.

— Mogą ją na później odłożyć — odparł król. — Proszę was, starajcie się, aby do żadnego wybuchu nie przyszło.

— Zborowskim wiele król winien, to rzecz niezaprzeczona — wtrącił Pibrak, który się dotąd do rozmowy nie mieszał — co tylko można, uczynić potrzeba, aby urażonymi nie byli.

— Ale i Tęczyński jest mi miłym — rzekł król, zwracając się ku niemu. — Jest to charakter szlachetny, człek rycerski i daleko mi sympatyczniejszy od tych krzykliwych Zborowskich.

— Mówią powszechnie — dodał Pibrak krzywiąc się — że ich dom to istne osiegnięzdo. Niema tam nigdy spokoju. Żołnierze dobrzy, odwaga w nich nieustraszona, ale duma niesłychana i charaktery nieunoszone.

— Pibrak, proszę cię — dorzucił Henryk — ty coś tyle razy umysły zburzone umiał ukołysać i tyle kłamstw ich przełknąć zmusiłeś bez zaksztuszenia się, weź to na siebie.

— Najjaśniejszy panie — odrzekł przebiegły Francuz — jeżeli tylko nie za późno.

Rozmowa zwróciła się znowu na wesele, na ucztę, na nieskończone mowy, któremi króla częstowano, a Pibrak musiał na wszystkie odpowiadać.

— Mają straszliwą łatwość mówienia po łacinie — odezwał się Pibrak — i spotrzebowywania dziesięć razy tylu słów, ilu w istocie ograniczyć by się mogli. Jestto naród Liwiuszów.

Villequier począł opisywać panie, nieśmiało ich wejrzzenia a osobliwe ukłony i śmieszki. Utrzymał, że po kątach całowano się serdecznie.

Król byłby może się rozchmurzył i w swawolniejszą dał wciągnąć rozmowę, gdyby mu przestroga maski nie tkwiła w pamięci.

Nie chciał z początku mówić o tem nikomu, wziął potem Pibraka na stronę i przyznał mu się do tego co od maski słyszał.

— Nic nowego dla mnie — odparł Pibrak — Nasłuchałem się i ja podobnych baśni o Infantce, ale im nie wierzę. Powabną nie jest, młodą także, po ścisłym obrachunku, choć może nie wygląda na więcej niż lat czterdzieści, zbliża się do pięćdziesięciu. Ludzie pamiętni tego co tu dokazywała jej matka, która była w istocie straszną niewiastą, chcą w niej widzieć charakter Bony. Ci co bliżej ją znają mówią jako o pobożnej, zacnej, życiem nieszczęśliwym znękaną, może dumnej ale szlachetnego charakteru kobiecie.

Nie jest to żona dla W. Kr. Mości — dodał Pibrak. — *Pardieu!* spodziewam się, że nam jej nie narzuca, ale trucizny się obawiać nie należy.

— Zkądże to, że struła brata? — zapytał Henryk.

— Obiło mi się o uszy — mówił Pibrak — że przed śmiercią brata była z nim poróżnioną o jakąś panienkę, którą dla niego z dworu jej wykradziono. Pojednali się jednak potem i wszystko jej zapisał.

— Wiem — odparł śmiejąc się Henryk — zapisał jej wszystko, a panowie senatorowie nic dać nie chcą.

— Tak, i podobno tak skąpo na potrzeby swej Infantki dostarczają, że ciągle pożyczonemi pieniędzmi żyć musi.

Rozmowa w pokojach króla, nawet gdy już się rozebrał i w łóżko położył, które faworycy obścapił, przeciągnęła się bardzo długo.

Nie mniej żywo po powrocie z wesela u królowej wszystko rozbierano cokolwiek się tego wieczoru przytrafiło. Pani krajczyna szczególnie widziała w młodym królu co chwila zdradzający się afekt dla Anny. Gdy nie mógł do niej się zbliżyć, ścigał ją oczyma. Rokowano jak najlepiej na przyszłość, ale król teraz tak niesłychanie był zajęty, godziny jego policzone tak skrzętnie, iż więcej dowodów uczucia wymagać nie było podobna.

— Uroczystości koronacyjne — mówiła — przecież kiedyś się skończyć muszą. Nawówczas nieochybnie bliżej się zechce król poznać z Anną, byle te narady sejmowe raz także doszły do końca.

Wiedziano i u królowej o turnieju nazajutrz, na który Anna z okien swojego mieszkania patrzeć miała i widzieć sobie obiecywała, choćby dlatego, że razem i króla zobaczyć mogła, który w swej łoży miał zasiąść, a potem biegać sam do pierścienia.

Panie wiedziały też, że Henryk, który był niezrównanym tancerzem i miał w Volcie celować, w igrzyskach zręczności, w popisach rycerskich nie ustępował nikomu.

Wszystkim tym pochwałą, jakie mu tu dawano, Anna się przysłuchiwała chciwie, żądną ich była, ale rzadko do nich coś dorzuciła od siebie. Wstyd jej było wydać się z tem, co w sercu miała.

Jej także Henryk wydawał się stokroć piękniejszym od innych, a postać jego i wyraz twarzy pełne szlachetności i wdzięku.

Rozpamiętywała w sobie co jej przyniósł Włoch Mago, który był tylko echem tego, co musiało powszechnie być przyjętem. W czasie wesela u Zborowskich i on i wielu innych z panów polskich przynosili jej coś ciągle o Henryku.

Jego krótka rozmowa z Dosią przeszła prawie niepostrzeżoną i nikt na nią nie zwrócił uwagi. Wszystkie jednak starsze Anny towarzyszki uważały to, że Dosia od czasu koronacji bardzo była zmienioną, zadumaną, roztargnioną i że ona jedna o królu unikała wszelkiej rozmowy.

Miano jej to za złe, nie domniemywając się wcale, iż i ona się zdradzić obawiała.

Dziewczę dotąd nieprzystępne, dumne, dzikie, trochę upojone było kadzidłem, które ku niej spłynęło od króla.

Z tego co czytała o Francyi, a chwytiała chciwie co z tamtąd przychodziło, przekonywała się, że królewskie kochanki wysoko się podnieść mogły.

To sieroctwo, które dawniej nie dopuszczało jej narzucać się Talwoszowi, teraz przy nowym zwrocie uczuć i myśli zdawało się jej rękojmą swobody. Nie miała rodziny i imienia, przed któremiby rachunek z życia składać potrzebowała.

Rodziło się w niej jakieś pragnienie świata, używania, zabawy, które ją napełniało niepokojem. Surowo wychowała się sama, nie dopuszczając marzeń do siebie, teraz one tłumnie, gwałtownie rzucały się na nią i odepchnąć ich nie miała siły.

Gdy się to działo na zamku, a u panów Zborowskich weselono się do białego rana, pan Samuel nie położył się nawet spocząć, tak mu już pilno było powetować na Tęczyńskim obelgi, którą przypisywał jemu.

Janasz Kroata, prosty jurgeltnik, wedle niego nigdyby się nie mógł ośmielić wyrwać kopii, przy której tarcza Zborowskich stała, gdyby mu to rozkazaniem nie było.

Z Tęczyńskiemi oddawna byli nieprzejednanemi, stare Topory sądzili się czemś daleko lepszym od Jastrzębców, bo wprzódy trochę siedli około tronu. Chciano właśnie teraz przed królem upokorzyć Zborowskiego. Tak on mniemał.

Prawdą zaś było, iż Kroata, dzielny szermierz, pijanym pono z zamku na miasto powracał, gdy mu przyszło plac turniejów przejeżdżać i przez zbytnictwo jakieś pochwycił kopię i zabrał ją z sobą, o czem pan Tęczyński, którego on był sługą, nie wiedział wcale.

Zborowscy w tem spisek widzieli. Gniew przeciwko Tęczyńskiemu pomnażało, że go mianowano już jako przyszłego urzędnika dworu króla, a Zborowscy sądzili, iż najpierwsi prawo mieli otoczyć tego, którego na tronie posadzili.

Przypisywali to sobie.

Krół nie zaprzeczał, łaskaw był dla nich, chociaż w sercu za koronacyjny występ żałował do nich. Połączyli się oni w kościele z dyssydentami i nalegali głośno na przysięgę.

Oprócz tego w sercu Henryka nienawiść dla hugonotów francuzkich w Polsce się przelała na różnowierców. Czynnym w czasie rzezi św. Bartłomieja był krwią przelaną związanym ściślej jeszcze ze sprawą katolików. Zborowscy stawali mu się przeciwnikami.

Zaledwie dzień poczynano, gdy pan Samuel zbroję, konia i cały swój do turnieju, choćby na ostre, rynsztunek już gotował, a towarzyszków sobie dobierał gromadę, któraby tym samym animuszem co on ożywioną była.

W turnieju, wiedział dobrze, mało kto się z nim mógł mierzyć. Miał siłę, zręczność, ale nad wszystko tę furię bojową, która przeciwnikowi tchnąć i opamiętać się nie daje.

Królewna Anna zrana poszła ze swym dworem na popiół do kościoła, a po mszy wracając zastała tu dawną swą przyjaciółkę i dobrą znajomą, którą pamiętała jeszcze panną Katarzyną Maciejowską, a która dziś nosiła imię Wapowskiej.

Przyszła ona wprost ze mszy pokłonić się Annie i przywiodła jej synaczka swego. Dwu takich miała.

Piękną i dziwnie spokojną a łagodną twarzą odznaczała się pani Wapowska. Dziewczęciem słynęła ona z pobożności tak, iż posądzano ją o zamiar wstąpienia do klasztoru. Później wydana za Wapowskiego Andrzeja, który jej był godzien, szczęśliwa z nim, nie zapominała o Bogu. Słynęła i teraz z wielkiej gorliwości religijnej, z przykładu jaki dawała spełnianiem obowiązków.

Mile widzianą na dworze Anny była ta pani, i królewna ją powitała serdecznym okrzykiem, bo dawno nie widziały się z sobą.

Wapowscy ze swych Radochonic dopiero na koronację przybyli.

Wapowska przed królewną chciała się synaczkiem pochwalić. Był on właśnie tego wieku co syn Katarzyny królowej szwedzkiej, Zygmunt, dla którego Anna wielką miłość miała — przypomniawszy jej szwedzkiego królewicza.

Schyliła się ku niemu królewna całując go i błogosławiąc, a mimowolne wspomnienie Zysia poruszyło ją mocno.

Często, często już przychodziło jej na myśl, że umierając bezdzietną, tego siostrzana sobie za własne dziecię przybierze i jemu po sobie zostawi spuściznę.

Nadzieje teraz płocze, sama je sobie wyrzucała, zatarły nieco Zygmusia, a oto los jakby przynosił jej przestrozę i wskazówkę, gdzie serce swe zwrócić miała, ażeby nie doznało zawodu.

Schyłona nad główką małego Wapowskiego, sama nie wiedziała czemu, jak zrosiła je łzami.

Pani Wapowska tymczasem o swem szczęściu mówiła, o mężu, o dzieciach, o życiu jakie spokojnie wiodła na wsi.

— Mężowi — mówiła do Infantki — towarzyszyć musiałam, bo mu się należy posłuszeństwo a mieć mnie chciał z sobą, ale jakże mnie ta wrzawa i ten zgielk ludzi i te obce twarze przerażają niemal.

Z radością do Radochonic powrócę.

— A ja — rzekła smutnie królewna — widzisz moja Kasiu, wśród tej wrzawy i zgielku żyć muszę.

— Brat mój Bernard mawiał — odezwała się Wapowska — że Bóg każdemu stanowi szczególne daje łaski. Wy, miłościwa królowo moja (Anna się zarumieniła), przeznaczeni jesteście żyć w tem ogniu i Bóg wam da wytrwałność salamandry.

— Kasiu moja — westchnęła Anna — wierzaj mi, i ja się nie czuję stworzoną do tego życia. Cięży mi ono.

— Dopóki się szczęśliwie nie uwieńczysz małżeństwem i koroną — przerwała pani Wapowska. — Wszyscy widzą, że się to inaczej skończyć nie powinno i nie może.

Anna spuściła oczy, wargi jej zadrżały, nie odpowiedziała nic.

Zdała tylko widziała pani Wapowska króla, ale go chwalić zaczęła, na co zapewne wpływała przyjaźń męża z Tęczyńskimi, którzy na dworze byli dobrze widzianymi, co Zborowskich tak gniewało.

Po odwiedzinach pani kasztelanowej nastąpiły inne, przyszedł biskup chełmski, zjawił się Solikowski, a potem wierny sługa Rylski. Każdy z gości przynosił wiadomość jakąś o królu, oznajmując co robił, gdzie był i jaki program dnia tego został ułożony.

Na zamku dnia tego dla pilnych spraw była narada panów senatorów, której Henryk musiał być niemy i znudzonym świadkiem. Obowiązek ten dla płochego młodzika należał do najcięższych.

Nie wszyscy senatorowie mogli i chcieli mówić po łacinie, a i tego języka Henryk nie był wielce świadomym; rozprawy żywsze toczyły się po polsku, a tych mu treść ktoś po włosku lub francuzku szeptać musiał.

Pomimo wysiłku aby okazać że to go niesłychanie zajmowało, król siedział zadumany, znudzony, niemal drzemający a widocznie tak kwaśny i chmurny, że się tego nawet ukryć nie starał, bo to przechodziło siły jego.

Spoglądano ku tronowi, a mniej dobrze usposobieni dla Francuza uśmiechali się z tej męczarni, która była zarazem i smutną i pocieszną. Bądź co bądź jednak król siedzieć musiał i dosiadywać do końca.

W izbie senatorskiej tymczasem wśród najpoważniejszych narad nad stanem kraju i bieżącymi sprawami nie dawało się ukryć poruszenie jakiegoś, które nie miało żadnego z niemi związku.

Przyczyną jego był burzliwy pan Samuel Zborowski, który nie chciał czekać obrad końca i wyzywał Tęczyńskiego gwałtem, aby się z nim stawił w szranki.

Uwiadomiony o tem pan z Tęczyzna wybiegł z izby natychmiast otoczony przyjaciółmi, którzy się lękali napaści ze strony Zborowskiego.

Ten cały już uzbrojony, gotów do walki, wrzący z gniewu, nie hamując głosu biegł po antykamerze, wywołując Tęczyńskiego i sromocąc go obelżywymi wyrazami, iż się przed nim jako tchórz ukrywał.

Wybiegł Tęczyński wprost z izby senatorów ku niemu w towarzystwie Wapowskiego i kilku innych przyjaciół.

Zaledwie zobaczywszy go rzucił się krzycząc Samuel.

— Znieważyles mnie, nasyłając twego służalca Janasza, aby kopię moją wyrwał, ja ci tego nie mogę darować.

— Świadcę się wszystkimi, co od wczoraj są ze mną — odparł spokojnie pan Jan z Tęczyzna — żem ani myślał wyzywać, ani chciał znieważać. Głupi opilec uczynił to z własnego zuchwalstwa.

— Ludzie widzieli! człowiek twój! to dosyć! — wrzeszczał Zborowski nie dając się pohamować. — Krwią twoją muszę zmyć obelgę.

— Panie Samuele — przerwał Wapowski — nie zapominaj, żeśmy na zamku, pod bokiem króla i że tu nie miejsce do walki i kłótni.

— Ja czekać nie mogę! ja odkładać nie chcę! Ani na czas, ani na miejsce zważać nie myślę. Należy się zadośćuczynienie — wołał coraz się rozpalając Zborowski.

Drudzy go próżno hamować chcieli, szalał.

— Skoro tak jest — zawołał spokojnie Tęczyński — chcesz się bić ze mną, zgoda! Nikomum nie odmawiał, ani tobie też ustąpię. Daj mi zbroję wdziać i druha do boju poszukać.

Potrzebuję tyle czasu, abym na Podwale do domu się dostał, zbroję na siebie wdział. Jesteś uzbrojony, ja nie.

Zborowski rwał się ciągle i kilka razy za miecz chwycił, którego zdobycia na zamku pod bytność króla śmiercią karało prawo. Ledwie go przyjaciele mogli pohamować.

— Daj mi się uzbroić! staję! — wołał Tęczyński, któremu drzwi zastępowano.

Ledwie nieledwie zmuszono Zborowskiego, aby niechętnie podawszy Tęczyńskiemu rękę, puścił go do domu.

— Śpiesz, bo mnie gniew i złość spali! — wołał za odchodzącym.

Zdawała się rzecz cała ubitą i na dobrą wprowadzona drogę, szło tylko o to, aby Zborowskiego strzymać, ukoić do czasu i nie dać mu wrzeszczeć, bo wołanie jego aż do izby senatorskiej dochodziło.

Zaledwie go posadzono, zrywał się, kłął, wściekał i łajał; na ławie usiedzieć nie mogąc, biegł po izbie, w której go trzymano, ażby Tęczyński z domu dosyć oddalonego na Podwale powrócił.

Każda chwila upływająca na oczekiwaniu coraz go na nowo rozjątrzała. Zdawało mu się, że Tęczyński wymknął się, aby uniknąć walki, że nie miał i nie chciał powrócić.

Napróżno go starano się do rozumu przyprowadzić.

W końcu przyjaciele, aby mu się czas nie tak długim wydawał, umyślili Moszczyńskiego, sługę Zborowskich, który się miał potykać z tym nieszczęsnym Janaszem Kroatą, wyprawić w szranki i choć tym bojem pragnienie zemsty pana Samuela zażegnać.

Dano znać, że Moszczyński stał gotowy na placu, a i Kroatą był także — czekali tylko, aby im znak dano.

Porządek wymagał tego, aby król dał znak do turniejów, a ten siedział jeszcze w senacie.

Zborowski już i na niego zważać nie chciał, tak mu pilno było, gdy na wschodach ukazał się Henryk i przyskakującemu do siebie jednemu z dworzan odparł obojętnie, iż przeciwnicy zmierzyć się mogą z sobą.

Pan Samuel pobiegł z tem sam i siadł też na konia, a z nim ci co mu towarzyszyli. Zbliżył się do Moszczyńskiego, który kopię układał właśnie, i krzyknął mu.

— A pamiętaj mi, abyś go rozumu nauczył, bo ci nie daruję.

Moszczyński głową tylko potrząśnął.

Spojrząwszy na nich obu, choć Polak ów Zborowskich sługa krzepki się wydawał i zręczny, można mu było przepowiedzieć, że Kroacie ogromnemu jak dąb, nadzwyczajnej siły i zaprawionemu do gonitw podobnych, nie dostoi.

Sam Moszczyński pono, dopiero na placu zobaczywszy przeciwnika, którego nie znał wprzód, trochę się zawałał, ale się cofnąć wstyd było. Oczu zbyt wiele patrzyło, król sam zatrzymał się ze wschodów zszedłszy. Podworce dokoła, wały, krużganki, galerye, okna napelnione były tłumem ciekawym.

Moszczyński ufając w siłę niepospolitą, kopię tak ułożył, aby tarczę Kroaty rozbić, bo mu się lekką wydała.

Z wielkim rozpędem koni uderzyli się i zwarli. W istocie kopia Moszczyńskiego na wylot przeszła tarczę, ale Kroat z siodła chcąc wysadzić przeciwnika nagle swoją włócznię pochylił i siodło rozdarłszy w lędźwie go zranił, a nie tracąc czasu, już z pod kolana koncerz dobywszy zamierzył się ciąć okrutnie Moszczyńskiego i byłby go okaleczył, gdyby ogromny krzyk tuż stojących Węgrów, powtórzony przez tłumy, nie zmięszał go i nie powstrzymał.

Rzucili się niektórzy do Kroaty, który posłuszny miecz oddał i odjechał cały, gdy Moszczyńskiego rannego musiano z siodła zsadzać.

Zborowski kłął i łajał na cały głos i sam chciał biedz na Kroatę, rwąc się tak, iż go musiano gwałtem hamować. Czekan porwawszy już się nad głową jego zamierzył, wydobywszy się z rąk przyjaciół, gdy drudzy przypadli i odciągnęli go precz.

Trwała tu jeszcze wrzawa, gdy od króla strwożonego tym zgiełkiem i krzykami nadbiegł marszałek z rozkazem, aby natychmiast się wszyscy z zamku wynosili.

Zborowski albo nie słyszał rozkazu lub wściekły nie chciał nań zważać i gonił za Kroatę, aż go marszałek zamkowym ludzom porwać i uprowadzić kazał.

Otrąbiono, aby wszyscy podwórza oczyszczali i wychodzili; tłum powoli począł wyciągać a straż zamkowa pędziła pozostałych, ale do Zborowskiego, który ze złości szalał, przystąpić nikt nie śmiał.

Chciał do króla, ale drzwi były pozamykane, wołał że na Tęczyńskiego czekać musi — nie ustępował.

Tak prawie do wieczora napróżno go łagodzano, namawiano, przychodziły posły jedno po drugich — nie ustępował.

Zmuszono go nieco ustąpić ku wrotom, gdy zaledwie się to stało, wybuch nowy jakiś zawracał go na plac gonitw ku zamkowi.

Lżył ciągle Tęczyńskiego, obwołując go tchórzem i bezczelnym, łajał Kroatę, kłął Moszczyńskiego, dostawało się wręście i królowi, którego zwał lalką i babą.

Ledwie nieledwie, gdy już zmierzchało, a pan Samuel prawie pod wrotami był, za-tętniało.

W czwał śpiesząc nadbiegł uzbrojony Jan z Tęczyna i wpadł na samą tę wściekłość przeciwnika, który pohamować się nie dając, wprost bez żadnego przygotowania do miecza się rwąc, łajał i lżył Tęczyńskiego i jego towarzyszków.

Zaczęto z obu stron wielkimi głosami wołać: na plac! na plac!

Zakipiła krew w Tęczyńskim, Samuel był jak bezprzytomny.

Nim przybyli na miejsce wyznaczone, Zborowski chciał się rzucić na Jana. Wtem z boku stojący Wapowski, także zbrojny i lamparcią skórę na ramieniu mający, widząc, że mieczów dobywano uląkł się i skoczył pomiędzy nich.

Żadna już siła Zborowskiego nie mogła powstrzymać, nie słyszał nic, nic nie widział, a może Wapowskiego ujrawszy, którego wrogiem był, jeszcze bardziej zajadły, czekan podniósł i z sił całych dwa razy nim ciał go w głowę, tak że krew mu natychmiast twarzą zalała.

Wszyscy naówczas pamięć stracili, ci co żyli z Tęczyńskim i ci co towarzyszyli Zborowskiemu, chwycili co kto miał pod ręką, krzyk, zamieszanie i gwałt powstał straszliwy...

Piechota, którą z sobą Tęczyński prowadził, dała ognia z kilku rusznic. Wszystko się zmięszało, zbiło w jedną kupkę.

Dopiero teraz przyjacielom Samuela udało się człowieka oszalałego, któremu kula nogę zadrasnęła, pochwycić i kupą z nim popędzić do wrót, do których tłum z miasta nadbiegający szturmował.

Ale rozkazy były dane, aby nikogo nie wpuszczać na zamek.

Król Henryk a bardziej jeszcze Francuzi z nim będący zlekli się tak tego tumultu i strzałów, że całą sprawę wzięli za spiszek przeciwko nim wymierzony.

Gdy w podwórzu odegrywała się ta krwawa scena, na zamku co żyło Francuzów zwołało się, zbroiło i w niezmiernej trwodze, przeklinając Polskę, zabierało się do rozpaczliwej obrony. Wprawdzie Pibrak i kilku roztropniejszych wszystko to składali na swarliwość i butę Polaków, ale strach ma wielkie oczy.

Henryk błady, zamknięty w najdalszej komnacie, otoczony sprowadzoną gwardyą, czekał następstw wypadków, a każdy szmer i krzyk wystraszonych jego ludzi miotał ku drzwiom i na obronę przeciw domniemanej napaści.

Można sobie wystawić też, co się u Infantki działo, która dopóki się nie ściemniło, z okien swojego mieszkania wszystko widzieć mogła, nie wiedząc, co było przyczyną zamieszania na zamku.

Kobiety klęczały i modliły się; służba zbiegała po wiadomość i nie powracała.

Po wyjściu Zborowskiego za wrota, pozostały Tęczyński zajął się ranionym przyjacielem, który wprawdzie przytomności nie stracił, ale chwiały się na nogach i co prędzej potrzeba było ratować go.

Kasztelan Wojnicki czując, że i na niego spadnie wina tego boju, którego nie poczynił, ale się musiał bronić od napaści i miecza dobyć tam, gdzie go obnażać nie było wolno; chciał koniecznie z rozbitą głową Wapowskiego stawić przed królem. On też sam żądał tego.

Pociągnęli wszyscy prowadząc z sobą kasztelana, którego skóra lamparcia cała krwią była złana, ku drzwiom zamkowym.

Wszystkie były pozamykane. Musiano bić i kołatać, a hałas ten Francuzów utwierdzał w przekonaniu, że na nich napaść chciano.

Wiele więc czasu upłynęło i Wapowski osłabł znacznie, nim nareście Francuzi się ośmielili, po parlamentowaniu nudnem, otworzyć Tęczyńskiemu.

Wprowadzono rannego do sali, a tu znowu nierychło król błady i pomieszany, otoczony całym swoim dworem ukazał się, nie mogąc słowa przemówić.

Tęczyński przypadł do niego, domagając się sprawiedliwości, kary, pomsty nad warchołem, który nic nie poszanował, nawet majestatu królewskiego.

Sam Wapowski mógł jeszcze przemówić, żaląc się, że bezbronny Samuel jak zbójca raził.

Henryk cichym głosem przyrzekał sprawiedliwość, rzucając błędnymi oczyma dokoła. Pibrak pobiegł po Mirona, lekarza królewskiego, aby ranę tymczasem opatrzył i obwiązał.

Wszyscy razem Francuzom jęli opowiadać co i jak się stało. Dopiero teraz ochłonęli oni nieco z przestraszenia.

Miron posadziwszy kasztelana na ławie, obmył zaledwie ranę i przewiązał głowę, nie powiedział nic — tylko że opatrzenia lepszego w domu potrzebowała.

Na zapytanie ciche króla, szepnął mu.

— Czaszka haniebnie strzaskana... mózg odkryty... życie ocalić będzie trudno.

Z zamku już na noszach do nieszczęśliwej żony musiano prowadzić kasztelana, który padł ofiarą swej przyjaźni dla Tęczyńskich i nienawiści Zborowskiego.

Ledwie się to stało na zamku, a z wrót potem wyniesiono Wapowskiego i po mieście się rozeszła wiadomość o tej walce, zawrzało i wzburzyło się wszystko w niewypowiedziany sposób.

Wina Samuela Zborowskiego była tak jawna i wielka, że go nawet przyjaciele nie mogli bronić, starali się tylko zmniejszyć ją tem, iż Kroata go znieważył. Ale ci co byli świadkiem starcia, szalu Samuela niczem w świecie usprawiedliwić nie dozwolali.

Znano zresztą cały ten ród niepohamowany w namiętnościach i niemogący nigdy wytrwać w pokoju. Tego rodzaju Samuel był najstraszniejszym z dzieci, i sami bracia się go lękali, tak w gniewie zmysły tracił.

Gdy go jeszcze się miotającego i szarpiącego odprowadzono do kamienicy, w której wczoraj obchodzono wesele, wszyscy nań padli z wyrzutami, iż sobie i familii nieszczęście ściągnął, a gardło dać będzie musiał.

Ale co takiemu człowiekowi popędliwemu znaczyło w tej godzinie namiętnego porwy życie stracić i drugich o śmierć i zgubę przyprawić. Rwałby był, kęsał i siekł, nie patrząc kogo, i sam się dał posiekać na kawały, byle zadość namiętności uczynić.

Krew, która go zboczyła, zdawała się jeszcze nienasycone zemsty wznagać pragnienie. Drżał cały i śmiał się dziko.

Starsi ze Zborowskich chcieli natychmiast biedz na zamek do króla, ale nie było najmniejszej nadziei, aby ich tam wpuszczono.

Dziwnym zwrotem w tym wypadku było, iż w mieście winę jego składano już na króla. Wszystkiemu byli winni Francuzi. Jak? tego nikt nie umiał wytłómaczyć; lecz, jak na zamku narzekano tej nocy na Polaków i większa część wylękłych Francuzów uznawała pobyt tu niemożliwym, tak w mieście króla obwoływano niezdarnym, niewieściuchem, słabizną.

Niechęć wzajemna zrodziła się tak, prawie bez powodu, bo wprzódy już przygotowaną była wielką różnicą obyczajów i usposobień.

Nie takiego z pewnością króla w tej chwili potrzebowała Polska.

Po ulicach, po browarach i piwnicach przybiegali z zamku i pobliza, niby lepiej uwiadomieni, opowiadając androny, tłómacząc zajście tem, że król Zborowskim dlatego że mu do korony pomagali pobleżał i wszystko pozwalał.

— Gdyby kto inny królewski zamek zakrwawił, ścięto by go pod Dorotką, a jemu nie będzie nic.

Niechęć ku Zborowskim, żal do nich były powszechne.

Jeżeli takie rzeczy poczynały panowanie, a miały uchodzić bezkarnie, czegoż się było na przyszłość spodziewać.

Pomiędzy posłami i senatorami też niepokój był ogromny... i noc upłynęła na narażach burzliwych...

Zborowscy i ich przyjaciele łatwo się przekonać mogli, iż większość przeciwko nim była. Domagano się kary śmierci na gwałciciela pokoju pod bokiem króla.

Królowna Anna modliła się i płakała.

Przecucie jakieś wskazywało jej, że przyszłość tak się zwiastująca groźnie, szczęśliwą być nie mogła.

Losy Henryka ciągnęły za sobą jej dolę niefortunną.

Gdy popłoch pierwszy przebiegł zamek, a z niewiast około królowej będących żadna się nie ośmieliła za drzwi wychylić dla powzięcia wiadomości, jedna Zagłobianka nie wahała się iść wprost do dworzan króla, ale zastała ich w takiej trwodze, tak rozpierzchłych i wylękłych, że nieledwie odwagi im dodawać musiała.

Krzyczeli i wołali jedno, iż spisek uknuty być musiał przeciw nim i królowi i rozpaczliwie biegali, ściągając broń, którejby nawet użyć w tej chwili nie potrafili.

Zagłobianka zdołała wyszukać Talwosza aż gdzieś na dole, od niego się dowiedziała o wszystkim i pierwsza przyniosła królowie smutną prawdę. Zdawało się jednak, że biedny Wapowski, który przed królem jeszcze mówić mógł przytomnie, był tylko ciężko rannym, a życiu jego żadne nie groziło niebezpieczeństwo.

Opłakiwano i człowieka powszechnie szanowanego, i losy rodziny Zborowskich, która za Samuela pokutować miała. Anna wprawdzie nie miłowała ich bardzo, lecz im winna będąc wybór Henryka, co się starali nieustannie przypominać, klęskę Zborowskich skłoną była uważać za porażkę króla, do którego obozu oni się liczyli.

Jak dzień wysłała Dosia swojego podwładnego do pani Wapowskiej, aby się o zdrowiu kasztelana dowiedzieć. Talwosz, który się ledwie mógł docisnąć tam, zwiastował smutnie, że ranny żył wprawdzie, ale lekarze, którzy głowę opatrywali i kości potrzaskane czekaniem wyjmowali z niej, rozpaczali aby go uratować mogli.

W dniu tym życie całe jakby zahamowane zostało zburzeniem umysłów, które wypadek wczorajszy obudzał. Zbierano się tłumnie, radzono... Senatorowie szli na zamek,

posłowie gromadzili się gdzie mogli na narady. Zborowscy obsyłali swoich niespokojni.

Trafili naprzód do Pibraka.

Byli z nim najlepiej i najbliżej, mieli i innych przyjaciół u boku króla. Henryk milczał, z drugiej strony Tęczyńscy i za nimi ogromna większość wołała przykładowej kary i sprawiedliwości.

Król okazał się niepewnym, wahającym i przybitym aż do zupełnego obezwładnienia. Dawał mówić jednym i drugim, oskarżającym i obrońcom, potakiwał jednym i drugim. Ani on, ani rozumny i przebiegły Pibrak nie wiedzieli, na którą się przechylić stronę.

Jawnym już było jednak pierwszego dnia, że całkowicie bezkarnie ująć przestępstwo nie może.

Zależało wiele na tem, czy Wapowski żyć miał lub umierać.

O tem nikt wyrokować nie umiał, począwszy od Mirona, a kończąc na najuczestniejszych lekarzach krakowskich.

Jedni spodziewali się go ocalić, drudzy widzieli niemożność utrzymania przy życiu. Wapowski stracił przytomność. Siły się wyczerpywały.

U łoża klęczała modląc się spłakana żona z dwojgiem dzieci; po wszystkich kościołach odbywały się nabożeństwa uroczyste.

W ulicy stał tłum patrząc na zapuszczone okna, podsłuchując pod ścianami, chwytając wychodzących, którzy zapytania milcząc smutnie zbywali.

Na zamku też niepewność ta czy Wapowski żyć będzie, sprawę w zawieszeniu trzymała. Szóstego dnia wreszcie nadzieja była straconą, poczęło się powolne konanie...

Z mężstwem, które tylko taka wiara głęboka, jaką miała Wapowska, dać może, odmawiała ona modlitwy za konających u łoża męża, którego powieki już się prawie nie podnosiły. Dawno stracił był przytomność; wyrazy, które mu się z ust wyrwały, były albo ułamkami modlitw, lub jakimiś marzeniami i snami o niebiesiach.

Przebaczył wszystkim — ale mężna niewiasta, która klęczała przy nim, mówiła w duszy, iż pomsty za krew niewinnie przelaną szukać będzie... Morderca niech da głowę!!

Siódmego dnia otwarto okiennice. Wapowski leżał na katafalku, otoczony światłem, z obnażoną głową strzaskaną, na której żółtej skórze krew zaschła czarna. Wapowska w czerni z dziećmi w nogach płakała na ziemi.

Gdy we wszystkich kościołach uderzono w dzwony żałobne, wiedziano w Krakowie, kto życie skończył, a gawiedz uliczna pod domem Zborowskich wołała.

— Samuelowi na śmierć dzwonią.

Zborowski stał w oknie i mruczał.

— Niedoczekanie!!

Śmierć, jemu? który króla na tronie posadził?

Nazajutrz ze dworu Wapowskich wyciągnął kondukt żałobny. W czerni, w kirach seciny ludzi, panowie i służba, wozy czarne, konie w kapach, zakonnicy z pochodniami, księża śpiewający psalmy przodem. Za trumną w czarnej sukni i zasłonie, z synaczkiem starszym przy sobie, Wapowska blada, z suchemi oczyma, widmo domagające się krwi za krew.

Przy niej Maciejowscy, Wapowscy, Tęczyńscy, rodzina, przyjaciele, powinowaci, wszyscy wrogowie Zborowskich.

Kondukt nie idzie ani do kościoła, ani na cmentarz — na zamek, na Wawel, do króla domagać się sprawiedliwości wobec zwłok zamordowanego.

Kto powziął tę myśl zuchwałą i przerażającą? kto ją poddał? Nikt. Wapowska wstała od trumny i ona głosem śmiałym wskazała.

— Na zamek, przed króla z jego zwłokami, i nie odejdziemy aż nam sprawiedliwość wymierzona zostanie.

Rozkaz dreszczem przejął wszystkich, ale jak ogień zapłonął potem w sercach przyjaciół.

— Na zamek ze zwłokami! na zamek! — oczy połyskiwały od łez i od ognia... spoglądano na siebie.

Orszak przy śpiewie powolnym psalmów ciągnął noga za nogą, aby lud widział zamordowanego, aby trup obudził zemstę a wdowa politowanie.

I zbiegły się tłumy i szli jak kto stał za pochodem aż do wrót zamkowych, a kto się mógł wcisnąć wewnątrz na podwórze.

Król jak piorunem został rażony, widząc ten długi szereg ludu w czerni, uroczyście podciągający pod krużganki, z tą wdową i sierotą.

Henryk zbladł, Francuzi zmięszali się przestraszeni, Tęczyński wdowę wiódł do króla, służba wzięła na ramiona trumnę, chcąc ją nieść do sali, gdy szmer się zrobił i król pospieszył wyjść cały drżący jeszcze, z odkrytą głową, smutny a w duszy gniewny.

Czyniono go wobec narodu winnym. Trup ten oskarżał o nieudolność, o opóźnienie wymiaru sprawiedliwości. Zborowski chodził dotąd wolny i urągał się tem swej ofierze.

Wystąpił przed zwłoki Stanisław Maciejowski z mową bolesną, żałościwą, poruszającą. Jęk i płacze słyszeć się dały.

Zabrała głos wdowa, do nóg przypadając panu i błagając o pomstę za tę ofiarę niewinną. Mówił potem Tęczyński.

Król zmięszany kładł rękę na sercu, bełkotał coś niezrozumiałego, przyrzekał. Twarz mu bladła, to czerwieniała nogi pod nim dygotały. Widok tego żółtego trupa przejmował go zgrozą, nie śmiał spojrzeć nań.

Z dzieciną przy sobie, zaledwie król się wymknął, poszła kasztelanowa do Anny. Królowna naprzeciw niej już wystąpiła i na ramionach wdowy położywszy ręce, zachodziła się od płaczu.

Serce jej mówiło, że może z Wapowskim i własne szczęścia nadzieje pogrzebać miała.

Stały tak długo milcząc i łkając, aż Tęczyński z Maciejowskim ujęli pod ręce osłabłą i nazad przeprowadzili do kolebek, których siedem towarzyszyło wdowie na zamek.

Po chwili w milczeniu trup i pochód zawrócił od krużganków nazad.

Tęczyński chciał kondukt skierować do kościoła, w którym czekał na zwłoki przygotowany katafalk.

— Nie — odezwała się Wapowska — do domu. Niech zwłoki leżą niepogrzebione, aż król sprawiedliwość wymierzy.

Rozbolelej niewieście nikt się nie śmiał sprzeciwić. Dano rozkazy, pochód nazad sunął się ulicami do dworu Wapowskich i trumna stanęła na marach w dolnej sali, a duchowieństwo rozpoczęło na nowo śpiewać psalmy nad zwłokami.

Na zamku u króla przerażenie było ogromne, radzono nie mogąc postanowić. Do Henryka, który nie wiedział co ma uczynić, do Pibraka, który nie śmiał powiedzieć co myślał, przybiegali po kolei Zborowscy, domagając się zuchwale prawie wypłaty długu za elekcyę, a więc bezkarność, i Tęczyńscy a Wapowscy, żądający sprawiedliwości.

— Tęczyński też miecza dobył na zamku — wołali Zborowscy — niech więc i on ukarany zostanie.

Król milczał — dnie schodziły.

Dowiedział się kasztelan wojnicki, że go obwiniano.

— Dam więc i ja gardło! Gotówem — zawołał poszedłszy do króla — ale niech ze mną morderca ukarany zostanie. Pójdę sam do więzienia, położę głowę na pieńku!

Król zimny — ani Tęczyńskiego stracić, ani Zborowskich sobie narażać nie chciał — milczał.

Dokoła niego wiły się jak nici niewidzialnej pajęczyny intrygi, na jedną i drugą usiłujące go pociągnąć stronę.

Szlachta tymczasem warczała groźnie, zbierała się tłumnie, wołała senatorom:

— Czyńcie powinność waszą.

Posłano referendarza Czarnkowskiego do senatu z domaganiem się, aby on króla skłonił do wyroku.

Wyrok się ociągał.

Dwa dni upłynęły, w mieście najróżniejsze chodziły wieści, sama zwłoka dowodziła, że Zborowscy mieli na dworze obrońców... oburzenie wzrastało.

Wapowska, która dnie i noce klęczała modląc się u zwłok męża, wstała.

Nie mówiła nic, głos zasechł jej w ustach, wskazała ręką. Pochód żałobny ciągnął na zamek raz wtóry.

— Na zamek?

— Tak, do króla.

Ale tu już go poprzedziła wieść o drugim wystąpieniu. Pi brak był gniewem przejęty, Henryk zaciął blade usta. Chciano zamknąć bramy.

Rozmyślił się król jednak.

Gdy Wapowska zbliżyła się do krużganków, wyszedł z głową odkrytą, ale na twarzy jego tym razem więcej było zniecierpliwienia i gniewu niż litości i postrachu.

Poszeptał i oddalił się szybko.

Wdowa jak pierwszym razem szła z sierotą do królowej.

Padła jej do nóg, składając ręce i zawołała tylko.

— Sprawiedliwości!

Anna z nią płakała. Zapomniała się chwilę przejęta tą żalobą i rozpaczą.

— Sprawiedliwości! — odezwała się głosem złamanym. — Kasiu moja! ale gdzież sprawiedliwość jest na tym świecie! Tobie ją ociągają, ja jej dla siebie doprosić się nie mogę...

Sprawiedliwość tam!

I podniosła rękę ku niebu.

Po raz wtóry odciągnęły zwłoki od zamku. Sądzone, że teraz już pogrzeb nastąpi. Wapowska odprowadziła je do dworu i złożyła na katafalku, przy którym uklękła.

W mieście zburzenie rosnęło.

Zborowscy chodzili porażeni i wściekli; ten trup wędrujący i domagający się pomsty na nich, mężnych nawet i zuchwałych przejmował trwogą.

Z trupem razem naród cały zaczynał naciskać na króla i naglić o przykładowe ukaranie.

A pan Samuel naumyślnie wychodził z kamienicy w Rynek i stawał jakby urągając się z twarzą swą zuchwałą, szyderską, mówiąc wbrew tłumom.

— Oto mnie macie! Nie będziecie śmieli uczynić mi nic.

Dwa dni naradzano się na zamku i wyrok król zatrzymał. Nie chciał nikogo sobie narazić, a obojga stron zaspokoić nie mógł.

Większość Francuzów za Zborowskimi głosowała. Pi brak ich bronił, król w sercu gotów był przebaczyć. Cóż go obchodził zabity Wapowski? Tęczyńskiego za to chciał zrobić podkomorzym swym i przywiązać do swej osoby.

Niepokonana w swej żalości Wapowska po raz trzeci przyciągnęła na zamek ze zwłokami.

Król nie ukazał się już. Szła do królowej ze łzami i z tem jednym zawsze wołaniem.

— Sprawiedliwości!

Potem płakały obie i kondukt raz jeszcze odciągnął do dworu, a zwłoki stanęły na katafalku, a modlitwy i śpiewy brzmiały znowu we dnie i w nocy.

Król nie śmiał ogłosić wyroku.

Ścierały się ciągle wpływy i rano jedne, wieczorem drugie górę brały. Pi brak dowodził, że Zborowscy odepchnięci, ukarani w osobie Samuela, pół kraju odejmą królowi. Senatorowie byli za sądem surowym i bezwzględnym. Firleje i nieprzyjaciecie Zborowskich wołali o karę śmierci.

Tęczyński dla pomsty nad Samuelem swoją głowę ofiarował.

Tak panowanie rozpoczęte zuchwałym wykrzykiem Firleja:

— *Si non jurabis, non regnabis!* miało się otworzyć krwawym wyrokiem i toporem kata; pierwsze słowo młodego króla miało być: śmierć temu, kto mnie do tronu podnosił.

Raz czwarty jeszcze nadaremnie Wapowska do wrót zamkniętych zamku przyszła ze zwłokami męża. Nie wpuszczona do króla, przywlokła się do Anny z narzekaniem.

Płakały razem.

Naostatek te zwłoki, które się nie mogły doczekać spoczynku, obudziły litość w biednej żonie. Mąż snił się jej, domagający, aby go pochowano.

— Bóg za mnie sprawiedliwość domierzy — mówił do żony we śnie — morderca zginie z ręki kata!

Nazajutrz po tym śnie oblanym nowymi łzami, Wapowska zakrytą trumnę odprowadziła do kościoła.

Nieprzeliczone tłumy jej towarzyszyły, tysiące otaczały świątynię, napelniały cmentarz. Płacz i łkanie rozlegały się wszędzie, a gdy wymowny Dominikanin przemówił słowem

natchnionem z kazalnicy, nie było oka suchego i piersi, którąby nie poruszyła żałość straszna.

I z kazalnicy znowu ozwał się ten sam głos, to słowo, które powtarzały usta Wapowskiej — Sprawiedliwości — ale kaznodzieja w Bogu wskazywał wielkiego Sędziego nad sędzie, który karze nawet to co ludzkie sądy bezkarnem uznają.

Nazajutrz po pogrzebie spodziewano się wyroku, ale na zamku, w senacie, wszędzie aż do sypialni królewskiej sprzeczano się dotąd, nie mogąc postanowić nic.

Król na karę śmierci wprost nie chciał się zgodzić, powiedział to wyraźnie.

Zborowskim mało było tego, oni żądali zupełnego oczyszczenia, w ich przekonaniu Tęczyński winien był tylko, bo jego Kroata włócznią Zborowskiego wyrwawszy, zelzył dumnego panka.

Uniewinnienie całkowite Samuela jednakże nawet przyjacielowi ich Pibrakowi wydawało się niemożliwe. Głos ludu znaczył coś, a ten się domagał kary.

Rozprawiano, a tymczasem oburzenie przeciwko królowi i jego doradcom rosło.

Pomiędzy Francuzami a Polakami ta krew Wapowskiego jakby przepaść jakąś wżłobiła. Zamiast się zbliżyć i jednać, stanęli przeciwko sobie w bojowym szyku. Polacy jawnie, Francuzi ze swą garstką milczący, upokorzeni i tem wścieklejsi, że się słabemi czuli.

Z więcej wystraszonych, który mógł tylko gońcem się wypraszał do Paryża, zabierając z sobą podarki, które króla obsypywano, a te szły zaraz wyprawiane nad Sekwanę. Tak przynajmniej utrzymywano w mieście, gdzie niechęć do króla, do Psibrata, do wszystkich tych wymuskanych lalek z cienkimi nóżkami rosła z każdą godziną.

Francuzi już sami z trudnością się mogli pokazać na miasto, rzadko zchodzili z Wawelu, a gdy chcieli spocząć gdzieś w Rynku i zabawić się, musieli wymykać się nocą i szukać sobie osobnego kąta, gdzieby ich palcami nie wytykano i nie wyśmiewano.

Nie wesoło było u królowej Anny. Tu zdało się, jakby wieczór w kamienicy Zborowskich spędzony razem z Henrykiem był ostatnim błyskiem nadziei, a początkiem rozczarowania.

Anna widziała jeszcze tego, którego za narzeczonego uważała, uśmiechającego się jej uprzejmie i słodko, obracającego się wesoło wśród ludzi, którzy mu miłość i poszanowanie okazywali.

Nazajutrz razem z popiołem na czoła spadł smutek, niechęci, waśnie i zawikłania, którym nie było końca.

Henryk znekany zaledwie się ukazywał królownie. Została na stronie zaniedbaną, zapomnianą.

Sprawa spadku po bracie leżała odłogiem, nikt jej podnosić nie chciał, nikt bronić nie śmiał. Anna musiała pożyczać pieniądze na utrzymanie siebie i dworu, a jej wołanie przez Czarnkowskiego, przez Rylskiego, rozbijało się i tonęło we wrzawie sprawy Zborowskich.

Dwa razy na krótko król przychodził powitać królowę, która sama mu o sobie i swem położeniu mówić nie śmiała. Zamieniali kilka słów chłodnych, ceremonialnych, Henryk skarżył się że nie miał czasu, i uciekał zaledwie się pokłoniwszy. Wejrzenie jego nawet zdawało się ostyglęciem, bojaźliwym, niepewnym, bez wyrazu.

Anna się ludzi już nie mogła, ale wszystko zamykała w sobie.

Na cóż się zdało skarżyć?

Łaska i inne panie widziały zawsze jeszcze wielkie nadzieje, były pewne, że się to weselem skończyć musi. Potajemnie panny królowej dostały rysunki herbów francuzkich i lilie szyły na sukniach przeznaczonych w ich mniemaniu na wyprawę królowej.

Tymczasem o weselu głucho było i żaden żyw człowiek na dworze o niem nie myślał. Francuzi śmieli się między sobą, gdy który z nich o tem jak o poczarnej groźbie napomknął.

Nie dziw, że skłonna zawsze do smutku i lez królowna, nie sprzecząc się z Łaską, gdy ta jej swoje marzenia powtarzała zawsze jedne, słuchała ich roztargniona, nie odpowiadając ani słowa.

Znowu teraz częściej dobywała królowna listy swej siostry królowej szwedzkiej i odczytywała w nich wiadomości o małym Zygmuncie, który po polsku mówił dobrze, przy ks. Warszewickim modlił się w tym języku i bardzo był pobożnym.

Serce biednej Anny zwracało się ku niemu, przysposabiając go sobie.

Do wielu innych zawodów, które spotykały królową, dodać było potrzeba i zmianę, jaka zaszła w jej ulubienicy Zagłobiance.

Służyła ona z równą na pozór gorliwością ukochanej pani, miewała dla niej wybuchy czułości i po dawnemu przypadała do nóg całując je a czasem oblewając łzami; ale nie była to już dawna Dosia, żyjąca tylko swą panią.

Talwosz pozołkł i wybladł śledząc jej kroki, nie śmiejąc czynić wymówek, niedowierzając oczom własnym, codziennie mocniej przekonany, iż ktoś z Francuzów głowę biednej dziewczynie zawrócił.

Zręczna bardzo, niedająca się nigdy złapać na uczynku, a pochwycona na czemś dwuznacznem, umiejac się zawsze uniewinnić, Dosia wymykała się często, niktęła z oczów Talwoszowi i Żalińskiej, powracała zarumieniona, pomięszana.

Żalińska, która ją dla syna mieć chciała, bo ten zawsze szalał za nią, doszła, że jakieś podarki kosztowne znajdowały się pomiędzy rzeczami Zagłobianki. Zkąd one pochodzić mogły?

Talwosz nie miał prawa o nie zapytać, ani wymówek czynić. Niekiedy jakby ogólnie o Francuzach się wyrażając malował ich płochotę i niestałość i zwracał na to uwagę, jak mało im zawierzać było można. Naówczas Zagłobianka z wielkim zapalem brała ich w obronę i dowodziła mu, że nie znał wcale tych, których sądził.

Ona widziała w nich wszystko dobre a dla króla była z niewypowiedzianem uwielbieniem. Z rozmaitych poszlak domyślać się musiał Talwosz, iż Dosia przestrzegala o wielu rzeczach Francuzów i donosiła im o tem co się na dworze Anny dzialo i mówiło.

Dawniej Zagłobianka z niezmierną gwałtownością sobie właściwą dowodziła, że Henryk musiał i nieochybnie miał się żenić z królową.

Talwosz teraz na próbę umyślnie wznowił o tem rozmowę z Dosią. Spojrzała na niego bystro i długo zagryzwszy usta milczała.

— Juściż — rzekła w końcu — miał się żenić i przyrzekł, to pewna, ale kto kocha królową naszą, nie wiem czy tego dla niej życzyć powinien.

— Panna Dorota więc chyba teraz inaczej przejrzała! — rzekł szydersko Talwosz.

— Ani się tego myślę zapierać — odparła dumna dziewczyna. — Głupi tylko ludzie widzieć nie chcą i gdy się omylili do błędu przyznać nie mogą. Królowa ma właśnie dwoje tyle lat co on. Za kilka lat będzie zupełnie starą, a on ledwie zmężnieje.

— Więc lepiej, żeby się nie żenił? — zapytał Talwosz.

— Co to do mnie należy? — szorstko przerwało dziewczę. — Dlaczego wpan mnie pytasz o to? Mnie się zdaje, że sama pani nasza tego nie zechce, gdy się rozmyśli.

Litwin poczał głową potrząsać, dziewczę się zarumieniło mocno i pogniewało.

— Kto królową kocha jak ja — dodała gorąco — kto jej dobra pragnie, ten nie powinien życzyć, aby się to małżeństwo skleilo.

— Zapewne — wtrącił Talwosz szydersko — jeżeli jak teraz z Francji ma sobie dziewczęta sprowadzać.

Dosia wybuchnęła zapalczywie.

— Kto to wpanu powiedział? — zawołała — to fałsz!

— A dla kogoż to tę pannę przywieziono co ją u karła Sederyna w Rynku, w Starej Mynicy trzymają — odezwał się Talwosz pewien swego — i do kogo ona wieczorami ztamtąd na zamek przybywa?

Zagłobiance paliła się twarzyczka.

— Kłamstwo! potwarz! — poczęła wołać. — Mało Francuzów jest na zamku przy królu, żeby to na jego składać rachunek? Dosyć tu ich przecie, co do żadnej z naszych kobiet przemówić nie mogą, bo z nich żadna po francuzku nie umie.

— Oprócz panny Doroty! — dorzucił złośliwie Talwosz.

Na moment zamilkła zmięszana Dosia, lecz wnet zuchwale przystąpiła z wyzywającym, gniewnym wzrokiem do Talwosza.

— Ja to od niejakiego czasu już widzę — wykrzyknęła — że waszmość sobie pozwalasz śledzić wszystkie moje kroki. Nie masz do tego prawa i bardzo proszę, abys przestał się mną opiekować.

Zbity tak Litwin smutnie spuścił głowę, podniósł głos nie już oburzony i gniewny, ale pełen żalości.

— A! panno Doroto — rzekł — gdybyś wiedziała jak dobrem i braterskim sercem ja to czynię, za co się gniewasz tak na mnie! Wierz mi, nie dla siebie, nie przez urojenie, że mnie mogłabyś pokochać i miłością moją pocziwą nie gardzić, ale przez szczerą przyjaźń dla was, prawda... śledzę kroki wasze i smucę się.

Dosia spuściła oczy; wyraz, z jakim to mówił dotknął ją, uczuła się poruszoną.

— Dość tego — rzekła ciszej i nie śmiejąc mu spojrzeć w oczy — jestem wpanu wdzięczna, ale (tu wzrok łzawy podniosła) ale co komu przeznaczone, tego nie uniknąć nigdy.

— Ja w kolebce może na zatracenie byłam poświęcona. Nie chciał mnie nikt, wyparli się swoi.

— A królowna? — przerwał Talwosz.

— Nie sądz, abym była niewdzięczną — przerwała Zagłobianka — Bóg widzi, dla niej bym życie dać gotowa, ale gdybym je dała nawet, to jej nie przyczynię tego, co dla niej też... nieprzeznaczone, czego ona nigdy mieć nie będzie.

— Czego? — zapytał Talwosz.

— Takiego człowieka, coby ją pokochać umiał i ocenić jak ona warta, nie znajdzie. Zapóźno! — westchnęła Dosia — zapóźno.

I przestała mówić nagle. Talwosz dał jej milczeć chwilę zatopionej w sobie.

— Mówmy lepiej o pannie Dorocie — dodał korzystając z tego, iż zdawała się złągodzoną — Prawdą jest, że ja pannę śledzę, bo się boję...

Panna wierzy Francuzom, a to są ludzie bez czci i wiary, gdy o kobiety chodzi. Oni sobie z ich łez nic nie czynią!

— Gdzieżes to ich tak poznał? — szydersko przerwała Zagłobianka.

— A no, dosyć było patrzeć od czasu jak tu są — rzekł Talwosz.

Spojrzała na niego z góry dziewczyna.

— Wy ani ich języka nie rozumiecie, ani obyczaju — rzekła — nie wiecie jak oni miłować umieją. U was wszystko od siekiery, nawet miłość.

— Tak, panno Doroto — rzekł Talwosz — ale od siekiery wyciosane trwa cały żywot, a ich piórka wiatery zdmucha!

Zagłobianka nic nie odpowiedziała.

Ta rozmowa i kilka podobnych wcale nie wpłynęły na sposób jej postępowania. Zdawała się lekceważyć Talwosza szpiegowanie, pewną będąc, że on jej nie zdradzi. Umiała się nim nawet posługiwać, gdy było potrzeba, a nieszczęśliwa ofiara ta sła posłuszna, choć serce pękało.

Żalińska wzięła na siebie szepnąć o tem Annie, iż lęka się, aby który z Francuzów Dosi nie bałamucił.

Królowna się mocno oburzyła na to przypuszczenie.

— Ale co ci w głowie! moja Żalińsiu — zawołała. — Dosia! ona! to nie może być! Ja się nią posługuję, gdy mi potrzeba co od Francuzów się dowiedzieć, ale to dziewczyna stateczna! a głowa się jej tak łatwo nie zawróci!

Miała dosyć chłopców co się koło niej kręcili, nie chciała żadnego.

— Ale ona strasznie często biega do nich i po kątach szepty a schadzki ma ciągłe — dodała Żalińska.

— To ja wiem — odparła królowna. — Może być, że niepotrzebnie ją narażam, będę na to miała bacność.

— Aby nie było zapóźno — szepnęła Żalińska.

Na tem się skończyło, bo gdy Anna wieczorem coś o tem szepnęła Dosi, ta jej do nóg upadła, poczęła ścisnąć za kolana, tłómaczyć się, płakać i nazajutrz tak biegała jak przedtem.

Żalińską tylko posądziwszy o doniesienie, gniewnie odprowadziła gdy się zbliżyła do niej, a pana Matyasza gorzej jeszcze.

Pomimo całej swej przebiegłości w kunszcie podpatrywania i podsłuchiwania, w którym Talwosz zdawna był mistrzem, nie udało mu się dośledzić, z kim właściwie Dosia ze dworu Henryka była w najbliższych stosunkach. Znali ją tu wszyscy, kłaniali się jej i witali rękę kładnąc na sercu, bawili ją dowcipami, usługiwali ochoczo, ale ona żadnemu nie zdawała się dawać pierwszeństwa i wszystkich zbywała dumnie.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/infantka-tom-drugi/>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, *Infantka*: powieść historyczna (Anna Jagiellonka), tom II, Kraków: Spółka Wydaw. Księgarzy w Warszawie Gebethner i Wolff: M. Glücksberg [etc.], 1884 (Kraków: W. L. Anczyc).

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Okładka na podstawie: Thanasis Anastasiou, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0437-1

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie wolnelektury.pl.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły](#) na stronie Fundacji.